

Na stronach zewnętrznych okładki:

Narcyz Piórecki - z cyklu „**Moje Ogrody**” („Trzy Gracje” – tech. własna, 168x137; „Stworzenie świata” – tech. własna, 86x134; „Stworzenie Adama” – akryl, 130x89; „Kompozycja XXV, 200x70.

Na stronach wewnętrznych okładki:

## **NARCYZ PIÓRECKI**

Arboretum w Bolestraszcach  
37-700 Przemyśl  
skr. poczt. 471  
tel. kom. 600 979 958

Dyplom w 1986 r. w Pracowni Jana Szancenbacha. W latach 1984-88 studia w Pracowni Tkanki Artystycznej krakowskiej ASP u Lilli Kulki i Ryszarda Kwietnia. Od roku 1998 pracownik dydaktyczny Uniwersytetu Rzeszowskiego. Członek Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Twórczego „Wiklina”. Uprawia dyscypliny: tkanina, rysunek, litografia, fotografia.

**Ważniejsze wystawy zbiorowe:** 1988 – BWA Kraków, Szancenbach i Uczniowie, malarstwo; 1988 – Arsenał Warszawa, tkanina; 1991 – BWA Kraków, Splot, tkanina; 1991 – Paryż Grand Palais, Salon Biennale 1991, grafika; 1993 – La Celle Saint-Cloud, Francja, Julin Art. Graphique, rysunek; 1994 – Bergkamen, Niemcy, „Splot” - Textilkunstaus der Region Krakau, tkanina; 1998 – Bastia, Francja, Angle Droit, Galerie Milla, tkanina; 1999 – Porto-Vecchio, Francja, Galerie Milla, malarstwo, tkanina; 2001 – TDK Tarnobrzeg, BWA Sandomierz, BWA Kielce, Sploty-wiklinowe obiekty; 2002 – NCK Kraków, Galeria Cent - Pieczęć Czasu, tkanina; 2003 – TDK Tarnobrzeg, Wystawa Poplenerowa Ogólnopolskiego Pleneru Wikliniarsko-Rysunkowego, rysunek, wiklinowe obiekty; 2004 – Galeria ZAP Pryzmat Kraków, I Festiwal Tkaniny Kraków `2004, wiklinowe obiekty; 2004 – Galeria Nowa Łódź, Wiklina, wiklinowe obiekty; 2004 – Instytut Wzornictwa Przemysłowego Warszawa, Wokół Wikliny, wiklinowe obiekty; 2004 – TDK Tarnobrzeg, Wystawa Poplenerowa Ogólnopolskiego Pleneru Wikliniarsko-Rysunkowego, rysunek, wiklinowe obiekty.

**Wystawy indywidualne:** 1993 – Zamek Kazimierzowski Przemyśl, malarstwo, tkanina; 1996 – Desert de Retz Chambourcy, Francja, malarstwo, tkanina, 2001 – Galeria ARP Krasieczyn Zamek, malarstwo, tkanina; 2002 – Kul, Galeria I Lublin, malarstwo, tkanina; 2003 – BWA Rzeszów, tkanina, malarstwo.

**Nagrody i wyróżnienia:** 1987 r. – stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki.

„Narcyz Piórecki jest artystą spełniającym się na wiele sposobów. Uprawia różne dyscypliny sztuki eksponując swoje prace na licznych wystawach malarstwa, tkaniny unikatowej, rysunku i grafiki. Natura w swej różnorodności i unikalności, a zwłaszcza formy roślinne są stale eksploatowanym źródłem inspiracji, to ona stanowi klucz do świata imaginacyjnych ogrodów Pióreckiego, to przestrzeń, w której czuje się pewnie, zna jej zakres i prawa nią rządzące. Wprowadzając widza w krąg biologicznych fantazji, dzieli się jednocześnie swą fascynacją, której trudno nie ulec”.

*prof. Lilla Kulka*

*Ponadto na stronach wewnętrznych okładki są prezentowane prace Narcyza Pióreckiego z cyklu „Moje Ogrody”: 2 litografie (fragment), 2 tkaniny .*

**NARCYZ PIÓRECKI „MOJE OGRODY” - Galeria „Afisz” – 24.11 - 31.12.2004 r.  
Tarnobrzесki Dom Kultury, ul. Słowackiego 2, 39-400 Tarnobrzeg, tel. (015) 822-21-10.**

<p>W NUMERZE:</p> <p>Jan Szlęzak, Dorota Kozioł <b>Spacerkiem po Tarnobrzegu i okolicy – Wspomnienia o Machowie; Był Machów...</b></p> <p>Tadeusz Zych <b>Statkiem po Renie</b></p> <p>Dominika Pyka <b>Debiut</b></p> <p>Elżbieta Kołba <b>Jan z Czarnolasu</b></p> <p>Grażyna Dłużniewska <b>Verbum</b></p> <p>Grzegorz Kociuba <b>Verbum</b></p> <p>Michał Buczkowski <b>Debiut</b></p> <p>Elżbieta Grządkowska <b>Verbum</b></p> <p>Bożena Wójtowicz-Ślęzak <b>Świat moich doznań</b></p>	<p>Bożena Ewa Wódz, Sandomierz <b>„Stary Sandomierz” cz. II – Malarskie „portrety” miasta z XIX i XX w.</b></p> <p><b>Wiklina Artystyczna w Rzeszowie</b></p> <p>Renata Flaszka <b>Dwa w jednym</b></p> <p>Bożena Wójtowicz-Ślęzak <b>Malarstwo i rysunek wychowanków TDK</b></p> <p><b>Moje Bieszczady</b></p> <p>Andrzej Wilgoz <b>Tańczy już 20 lat...</b></p> <p>Waldemar Urbaniak <b>Piękno użyteczne - polskie stroje ludowe</b></p> <p>Stanisław Sas Tarnawski <b>Zasłużony dla medycyny Zalety kuchni jarskiej</b></p> <p>Tadeusz Milarski <b>Strzelec w Tarnobrzegu</b></p> <p><b>Kronika Tęczowy Plener</b></p>
---	---

***Stary Tarnobrzeg – Dworzec kolejowy podczas I wojny światowej.***

<p>Wydawca: <b>Tarnobrzесki Dom Kultury ul. Słowackiego 2 39-400 Tarnobrzeg tel. (0-15) 822-21-10 tel./fax (0-15) 822-74-97</b></p> <p>Redaktor naczelny: <b>Stanisław Dziubak</b></p> <p>Wpisywanie tekstów, korekta: <b>Renata Flaszka, Bożena Grądzka</b></p> <p>Muzyka: <b>Mariusz Ryś</b></p>	<p>Teatr: <b>Andrzej Wilgoz Ruch Amatorski Sylwester Łysiak</b></p> <p>Literatura: <b>Grzegorz Kociuba</b></p> <p>Stali współpracownicy: <b>Elżbieta Miśkiewicz Sławomir Stępak Jan Szlęzak Tadeusz Zych</b></p>	<p>Druk: <b>Wydawnictwo Samorządowe S.A. Tygodnik Nadwiślański 39-400 Tarnobrzeg ul. 1 Maja 4 a tel. (0-15) 822-52-40</b></p> <p>Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk tylko za zgodą Redakcji.</p> <p>ISSN 1426-2606</p> <p><b>Zapraszamy do współpracy z naszym piśmie!</b></p>
--	--	--

# SPACERKIEM PO TARNOBRZEGU I OKOLICY

## Był Machów...

Szanowni Państwo, temat Machowa będziemy niebawem kończyć. Tytułem wstępu do materiału pani Doroty Koziół pozwolę sobie przytoczyć parę szczegółów zachowanych w pamięci.

Droga polna z Kajmowa w kierunku lasu machowskiego zwana „Wądołem” była głęboką koleiną gliniastą, podmokłą bocznymi wyciekami wody. Latem wozy konne pełne zboża przechylały się to w jedną, to w drugą stronę. Chłopi podpierali widłami wóz, ażeby się coś złego nie stało. Pech chciał i stało się.

Lipcowego dnia z bratem Staszkiem zwoziliśmy zboże. W pewnym momencie na dużym wgłębieniu wóz przechylił się i znaleźliśmy się na ziemi. Koń zauważył co się dzieje, więc stał spokojnie i czekał aż powyciągamy pogmatwane snopy, wyprostujemy wóz, od nowa załadujemy i dalej wio. Żeby było śmieszniej z naprzeciwka jechał następny gospodarz, który nie mógł nas ominąć. Poklął pod nosem i wziął się z nami do roboty.

Na początku lasu było duże zagęszczenie jeżyn. Cierniste krzewy broniły dostępu do dorodnych owoców („dziadów”), które masowo zbierano na sok lub wino. Pośrodku tego jeżynowego zagajnika leżała duża lotnicza bomba z czasów II wojny światowej. Każdy to miejsce omijał z daleka. Znalazł się jednak odważny chłopak Władziu Reczek z Kajmowa, który na naszych oczach jesienią, idąc na grzyby, wyniósł ten pocisk i rzucił nam pod nogi. Udało się. Po kilku dniach przyjechali saperzy z poligonu z Nowej Dęby i niewypał zdetonowali przy lesie, wskutek czego powstała duża dziura w ziemi oraz pokaleczone drzewa.

W majowo-czerwcowe wieczory starsi kawalerowie chodzili na randki. My młodzi chodziliśmy na konwale czy jagody. Najciekawsze były robaczki świętojańskie, które niczym iskierki świeciły późnym wieczorem.

Tajemniczym miejscem pośrodku lasu był wojenny cmentarz. Mogiły ziemne, pośrodku krzyż dębowy, wokół sosny i brzozy. Moja babcia opowiadała mi, że to cmentarz ludzi zmarłych na cholere. Choroba ta „grasowała” przed I wojną światową, zbierając obfite żniwo. W czasie zarazy domy chorych omijano, a jedzenie podawano im na desce przez okno. Ginęły również zwierzęta. Kiedy kopalnia siarki zajęła ten teren, cmentarz ocalał. Obecnie jest to pustkowie. Piaszczyste mogiły są ogrodzone, na każdej bardzo skromny krzyżyk z patyków brzoźowych, pośrodku stoi krzyż. Lat temu siedem osobiście wykonałem tablicę pamiątkową z czerwonego piaskowca informującą, że w tym miejscu spoczywają żołnierze Armii Austro-Węgierskiej, w tym Polacy w liczbie ok. 80 osób. Dzięki pomocy dyrektora Kopalni Machów p. Bolesława Gawlika udało mi się dotrzeć ciężkim sprzętem po wertepach na miejsce i dzięki pomocy jego pracowników, zamontowaliśmy ową tablicę.

Cmentarz wymaga lepszej opieki. Mogiły piaszczyste w czasie ulewy rozmyją się i pozostanie tablica z napisem: „Żywym ku przestrodze, umarłym na chwałę”.

Jan Szlęzak

\*\*\*

*Artykuły o machowskiej ziemi pani DOROTY KOZIOŁ, zamieszczane na łamach „Siarki” - zakładowej gazety KiZPS „Siarkopol”:*

### DROGA PRZEZ WIEŚ

Tej drogi już nie ma i nie będzie. A była to najzwyczajniejsza w świecie droga wiodąca przez centrum Machowa. Wzdłuż niej budowali ludzie swoje gospodarstwa, wzdłuż niej rosły wierzbki, ciągnęły się płoty... Tą drogą chodziło się do szkoły, sklepu, w pole, do lasu, do miasta. Setki, tysiące razy przeszły nią nogi machowiaków. Tą drogą przyjechali potem ci, którzy obwieścili światu, że Machów stoi na „złocie”. I tą drogą wreszcie w 1969 roku odjechali ze wsi ostatni mieszkańcy.

Wstąpił do piekieł – po drodze mu było – to powiedzenie było w Machowie zawsze aktualne, bo właśnie z głównej drogi skręcało się w ulicę prowadzącą do „dzielnicy” zwanej „Piekieł”. Tą drogą szło się również na „Łaz”, na „Kolonie”, z niej wiodła uliczka do tzw. „Matni”.

Gdzie mieszka Koziół? – A, przy drodze, pod „Górką” – mówiło się. Wiadomo było wówczas, że chodziło o Kozła Józka, bo Kozłów było w Machowie prawdziwe zatrzęsienie. Ale ludzie poradzili sobie przypisując każdemu z nich jakieś przezwisko. Zresztą „przezywali” nie tylko Kozłów. Każdy w Machowie miał jakiś przydomek. Czasem było i tak, że ludzie zapominali o prawdziwym nazwisku... Mówiło się np. Helcia Kosowa. Starsi wiedzieli, że chodzi tu o Elżbietę Rzeźnik, ale dzieci wybałuszały oczy, kiedy ktoś obcy o to nazwisko zapytał. Albo taki Stach Kowal... Jeszcze do dziś mało kto powie, że konia podkuwało się u Sawarskiego.

Sawarski to „Kowal” i już! No, bo jak miał kuźnię to jakże go nazywać?... Jego ojciec – Franciszek też był „Kowalem” a nie Sawarskim, bo z dziada pradziada ta kuźnia w rodzinie była.

**Kozłów, Sawarskich, Tęczów, Niedziałków** było w Machowie kilku. Jak już się przezwiska nie znało, to wystarczyło powiedzieć, co który z nich potrafił robić i wtedy każde dziecko drogę wskazać umiało. **Koziół Józek** był na przykład masarzem. Jak się Wielkanoc zbliżała, Boże Narodzenie albo wesele, to wiadomo było, że Józek najlepsze kielbasy, kiszki i salcesony zrobić potrafi. Nawet i z obcych wsi po niego przyjeżdżali. Bo takich specjalistów mało było w Machowie; tylko on i **Józek Galek**.

Jak krowa czy świnia zachorowała, jak się koniowi coś stało, to wiadomo, że **Władek Wiącek** pomóc potrafił. „Lekarz” na niego mówili, „weterynarz”, a przecież Władek ani jednym ani drugim nie był, choć na chorobach znał się doskonale. Jeszcze w wojsku skończył kurs weterynaryjny. Zwierzęta leczyć potrafił, a najważniejsze było to, że zabobonne przekonania ludziom z głowy wybijał. Czasem na przykład obżarła się krowa, dostała wzdęcia, kolek a ludzie mówili, że „paskudnika złapała”. I gdyby nie Władziu Wiącek, to niejedna taka krowina ucierpiałaby mocno przy odczynianiu zadanego na pastwisku „uroku”... Zresztą, Wiącek i ludziom doradzić potrafił. Zastrzyki dawał, a w czasie okupacji zdarzyło się, że i poród odebrał.

Jak ktoś zapytał o „akuszerkę” – od razu było wiadomo, że chodzi tu o **Gertradę Niedziałek**. Oj, jeszcze w latach pięćdziesiątych miała ona sporo zajęć! Nie wszystkie kobiety chciały zaufać szpitalowi, lekarzom, fachowym pielęgniarkom. Było przekonanie, że babcia Niedziałkowa najlepiej to zrobić potrafi. I dożyła machowska „akuszerka” sędziwych lat w zdrowiu i pełnej fizycznej sprawności, i prawie do ostatniej chwili korystali ludzie z jej usług, bo i na urokach się znała, i na każdą chorobę odpowiednie zioła potrafiła polecić...

Niedziałki też mieli przezwiska, przydomki, ale z nimi nie było problemów. Jeśli ktoś o Niedziałka szewca, murarza itp. pytał, to i tak obojętnie do którego z nich go skierowano. Każdy bowiem z Niedziałków potrafił robić wszystko. Pracowici to byli ludzie, zdolni i zaradni. „Czego się nie czepią – wszystko im wychodzi” – mówiło się o nich. Na wszystkim się znali, wszystko sami sobie zrobić potrafili, a i ludziom chętnie pomagali, toteż lubili ich i cenili machowiaczy.

Szewców było w Machowie kilku, ale najczęściej jednak chodziło się z butami do Niedziałków. Pełne ręce roboty miał także **Józek Zbieg** (ten „spod krzyża”), a już najwięcej wtedy, gdy w modę weszły buty „skrzypiące”. Jeszcze pewnie do dziś, gdzieś w starej skrzyni, na strychu mają niektórzy machowiaczy buty Zbiegowej roboty. A były nie do zdarcia! **Jaś Matyka, Tadek Graza, Józek Koziół** też buty robili, naprawiali, ale jakoś prędko się z tym fachem rozstali. Nic dziwnego, bo praca męcząca i uciążliwa, a nie każdy miał ochotę całymi dniami na stołeczku siedzieć i w kopyto młotkiem klepać.

Do **Farbiszki (Agnieszki, tej „Kubowej”)** nosiło się szycie. Krawcową była wyśmienitą. Podobnie zresztą i **Aniela Tworkowa**, a z tych nieco młodszych – **Karolcia Sawarska**. Ta ostatnia podobno pięknie szyla męskie koszule. Pełne ręce roboty miał też **Julek Rawski**. Bardzo eleganckie były szyte przez niego spodnie, płaszcze, marynarki... Dopiero później wyręczać go zaczęli młodszy – **Stach Rączkowski** i **Marian Karbowniczek**.

Stolarzy było w Machowie kilku. W latach pięćdziesiątych i jeszcze sześćdziesiątych najładniejsze meble, najsolidniejsze robił **Wicek Jabłoński** (na „Piekło”) i **Władek Walski** (na „Łazie”). Zresztą nie tylko meble – okna, drzwi, wszystko, co tylko z drewna trzeba było zrobić...

Wędrowkę po Machowie można by ciągnąć w nieskończoność. O każdym z machowiaków można by napisać wiele, wiele stron. Bo przecież idąc drogą przez tamten Machów – ileż ciekawych rzeczy można było zobaczyć, ileż się dowiedzieć. A napisać o tym warto, bo przecież Machowa już nie ma i nie ma tej drogi, która wiodła przez wieś.

## OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA

O Machowie nie sposób napisać wszystkiego w kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu odcinkach. Machów zasługuje może nie tyle na monografię, co na kilka tomów opowieści. Każdy skrawek ziemi, drzewo, krzywy płot, pokryty mchem słomiany dach – miały tu swoją historię, obrosły legendą... A ludzie? – O nich można pisać najwięcej – dobrze i źle, z humorem i poważnie, dostojnie i z przyzwrożeniem oka... Czy ktoś to kiedyś zrobi? Nie wiem. Mam tylko cichą nadzieję (a czasem nawet pewność), że mój „serial” ZANIM PRZYSZŁA SIARKA będzie początkiem, stanie się punktem wyjścia dla kogoś, kto się tego dzieła podejmie. Zdaję sobie sprawę z niedoskonałości i chaotyczności moich opisów. Wiem, że nie wszystkim one się podobają, nie każdy przyznaje mi rację, jeśli chodzi o pewne fakty czy sformułowania. Dochodzę jednak do wniosku (na podstawie listów i telefonów do mnie), że podjęłam temat ciekawy i zajmujący Czytelników. Dlatego sądzę – warto pisać. Warto choćby dlatego, że czas ucieka i zacierają się w pamięci machowskie sprawy, niszczej dokumenty, odchodzą bezpowrotnie ludzie, którzy jeszcze cokolwiek mogą opowiedzieć, przekazać, pomóc.

W swoich „wędrowkach” po Machowie spotykam wielu ludzi – starych, młodych i tych najmłodszych, którzy się w Machowie nie tylko urodzili, ale wychowali się już na „nowym”, na „obcym”. I dziwna rzecz, że nawet ci najmłodszy, którzy z opowiadań i zdjęć w rodzinnym albumie znają Machów – tęsknią także za tą wsią, której nie ma... Ta tęsknota u machowiaków jest pewnie dziedziczna i trudno powiedzieć, w którym pokoleniu przestanie się odzywać, atakować jak wirus, z którym trudno sobie poradzić...

O Machowie nie sposób napisać wszystkiego. Najlepiej usiąść na chwilę z kimś, kto się tam urodził, kto przywykł do tej ziemi jak do własnej skóry, posłuchać, powrócić przez to słuchanie do tamtych lat. Wtedy myśl błąka się po wsi od domu do domu, między opłotkami staje, zagląda do okien, dotyka zgarbionej wierzby przy drodze, schyla się nad „Strugą”, zatrzymuje się na chwilę przy drodze do „Piekła”, tam, przy tym polodowcowym kamieniu pod płotem u Zbiega...

Tak to już z machowiakami bywa – na wspomnienia namówić ich trudno, ale jak już mówić zaczną, to czasu nie starcza, by wysłuchać do końca... Ostatnio na takie „wędrowki” po machowskich ścieżkach udało mi się namówić Eugeniusza Janika. Z Machowem rozstał się wcześniej niż inni i niezupełnie z powodu siarki i wysiedlenia. Rodzinny dom Janików stał przy uliczce prowadzącej od kapliczki do „Strugi” i dalej – obok Kozłów, Bojdów, Furdyny, Grazdów aż do wiślanego brzegu. Janikowie mieli czworo dzieci: Stanisławę, Eugeniusza, Jana, Zofię. Choć blisko drogi mieszkali – nie było im jednak łatwo wyjść stąd w świat. Nie, tej przysłowiowej biedy nie klepali, ale przecież były i dla nich takie czasy, że chleba nie zawsze starczało... Kiedy przysłała siarka przenieśli się do Tarnobrzega, rolnikami być przestali, ale machowiakami nigdy...

„O wielu rzeczach się zapomina – mówi Eugeniusz Janik – ale, dziwne, że to, co dotyczy Machowa, utkwiło we mnie ze szczegółami i z czasem staje się nawet jakby wyraźniejsze. Przecież to taki kawał czasu, jak po Machowie śladu nie ma, ale kiedy człowiek przymknie oczy – zaraz widzi drogę przez wieś, każde drzewo, kamień, płot, ławkę na mostku... Zawsze kochałem las. Chodziłem tam na grzyby, jagody, chrust się na rozpałkę zbierało. Pamiętam gajówkę i gajowego Jachimowicza. Gajowych było wielu (m.in. Pasiekowie, Buczek, Jaskot, potem Derbich), ale Jachimowicza zapamiętałem najlepiej. Miał troje dzieci, psa Burka, trzy krowy i trzymał u siebie buhaja. Ten buhaj był bardzo agresywny i kto tamtędy przechodzić musiał – rozglądał się dobrze, bo lepiej było spotkania z nim unikać. *Edek, Józek, Janka, Burek – chodźta tu, do krów!* – wołał gajowy, kiedy krowy trzeba było na pastwisko w „Zakąciu” wygonić. Zaglądałem tam często, tak samo jak na „Łaz”, gdzie zatrzymywały się i rozbiły obozy cygańskie tabory. Wpatrywałem się w cygańskie ogniska, słuchałem pieśni, podobały mi się kolorowe wozy wędrujące z całym dobytkiem po świecie... Do dziś pamiętam słowa piosenki, której nauczył mnie Cygan: *Czerwone, czerwone i bure, i bure... Chodź ze mną na górę, na górę. Ja mam klucz od bramy – tam się pokochamy.* Na „Łazie” odbywały się festyny. Nie tylko były tańce, ale różne gry, zabawy, konkursy, występy itp. Przyglądałem im się najpierw z daleka jako dzieciak, a potem sam brałem w nich udział...”

Wróćmy jeszcze do lasu. „Wiele razy jako uczeń chodziłem ze szkołą na wycieczki – mówi pan Eugeniusz. – Kierownik Wilk prowadził nas zawsze pod tzw. „patryję” czyli punkt triangulacyjny. Albo też szliśmy na „Góry”. Tam kiedyś była fabryka amunicji. Był także cmentarz żołnierzy z I wojny światowej. Szkolne dzieci dbały o te groby. I jeśli już o grobach mowa, to przypomina mi się, że w dębinie, w pobliżu gospodarstwa Szczytyńskich była jakaś opuszczona mogiła... Tak, była. Podobno pochowano tam zmarłych na cholera, bo i taka choroba wieś nawiedziła. A przyniósł ją niejaki Dąbek napiwszy się wody z Wisły. Przypomniały mi się „Krzyżowe Mosty” – wspomina dalej pan Eugeniusz. – Mama zawsze przestrzegała mnie, że tam niebezpiecznie. Podobno tam straszło. Często biegają myśli machowiaków do lasu, przepływają przez niego jak te kilka strumyków, które gdzieś w samym jego sercu tryskały źródłem, by potem przeciąć wiejską drogę i popłynąć na łąki, pola, zgubić się w jeziorach czy w Wiśle...”

Mówiąc o Machowie – trzeba jeszcze wspomnieć i o karczmach. Było ich podobno aż siedem. Pierwsza na „Dębniakach” – tu, gdzie potem mieszkał Grębowiec, druga – tam, gdzie budynek „Sokoła”, trzecia – w lesie, przy drodze do Ocic, czwarta – zwana „Wygoda”, tam, gdzie „Cholewiane Uszko”, piąta – tam, gdzie potem mieszkał Kmieczyk, a następnie Stach Tęcza, szósta – tam, gdzie mieszkał Michał Niezgodza, siódma – „Grajcarówka”, przy drodze z Kajmowa do Machowa. Tę ostatnią spaliły wojska rosyjskie w czasie I wojny światowej. Dochody z karczmy i gorzelni były tak ogromne, że – jak pisał Wojciech Wiącek w swojej „Sodomie i Gomorze”: „Jaśnie pan postanowił wybudować z tych dochodów wszystkie budynki murowane. W tym celu kazał zbudować dwie cegielnie, zwozić kamienie, drzewo i wapno Wisłą. Ze wsi okolicznych aż z Grębowa, Krzątki, od Kamienia i Majdanu zwożono kamienie – olbrzymy, piasek, drzewo i wapno Wisłą. Ze wsi okolicznych aż z Grębowa, Krzątki, od Kamienia i Majdanu zwożono kamienie – olbrzymy, piasek, drzewo, deski, gonty. Gdy już wszystko było gotowe do budowy, sprowadził z Krakowa murarzy i cieśli. Wybudowali oni wielki pałac o 48 pokojach i olbrzymie piwnice pod całym pałacem. Tylko, że dziś nie ma takiego, kto by ten pałac pamiętał i potrafił narysować. A szkoda!...”

Czas ucieka. Oddala się w pamięci tamten Machów, zacierają się jego kontury coraz bardziej. Zdjęcia z rodzinnych albumów staną się wkrótce dla przyszłych pokoleń tylko kawałkami pożółkłego papieru z wyblakłymi sylwetkami ludzi i domów... Czy ktoś zdoła to kiedyś jeszcze ocalić od zapomnienia?...

### ZIEMIA, ZIEMIA...

Dla chłopa ziemia zawsze była życiem, miłością, wszystkim. Przechodziła z pokolenia na pokolenie, żyła, stanowiła najmocniejszy grunt pod nogami. Kto we wsi nie miał ziemi, ten chodził na pańskie, na dworskie albo kmiece i urabiał ręce do łokci za kawałek chleba, za łyżkę stawy, za marny grosz. A ten grosz, nawet marny, bardzo się liczył. Nie było o niego łatwo. Niekiedy i dwa pokolenia skąpiły sobie, od ust odej-

mowały, żeby o ten mórg czy dwa się wzbogacić. Jechali ludzie do Ameryki, do Francji, na sezonowe roboty do Niemiec... Pracowali gdzie się dało, np. przy podwyższaniu wałów ochronnych wzdłuż Wisły. Pracowało się tu ręcznie, a norma dzienna równała się przywiezieniu 120 taczek ziemi...

Każdy grosz był ziarnkiem nadziei, że ziemi da się dokupić, że kiedyś wreszcie można będzie żyć jak gospodarz, jak człowiek.

Maleńkie były te chłopskie zagony. Jedynie pańskie, dworskie ciągnęły się szeroko i daleko...

W Machowie głód ziemi może nie był tak dotkliwy, jak w innych okolicach, ale przecież niejednen marzył o tych kilku morgach więcej, choćby dlatego, żeby dzieci lepiej wywianować, córkę za gospodarza wydać. „Bo ziemia, to życie – mawiali starzy. – To majątek. Ogień jej nie spali, woda nie zabierze. Jak masz ziemię – toś pan, to ci bieda rady nie da.”

Przyszła wojna, długie lata okupacji. Potem był rok 1944 i reforma rolna. W Machowie dworu nie było, więc chłopci na te „morgi z przydziału” wcale nie liczyli.

„Wiedziałem czym jest dla chłopca ziemia – mówi Józef Matyka. – Sam przecież na niej wyrosłem. Od dziecka obserwowałem tę chłopską miłość do każdej jej grudki, do każdej jej piędzi... I co tu dużo mówić – sam się w tej ziemi zakochałem na całe życie. Może tę ziemię dlatego tak kochali i szanowali, bo zawsze jej było mało?... Trzeba było wykorzystać okazję, kiedy ziemię można było dostać darmo. Nie, nie darmo! Bo przecież pracowały na niej całe pokolenia przez długie wieki. Ile chłopskiego potu w nią wsiąknęło, ile razy dotykały jej chłopskie utrudzone ręce, ileż razy zginały się nad nią zmęczone plecy!...”

Józef Matyka znany był w Machowie i w całym powiecie nie tylko z czasów konspiracji. Jeszcze przed wojną aktywnie działał w Stronnictwie Ludowym i w ZMW „Wici”. Kiedy tylko przez Tarnobrzесkie przetoczył się front, kiedy umilkły działa – rozpoczął kolejny rozdział w swojej pracy, którą zawsze starał się służyć ludziom.

Matyka wszedł do tzw. trójki powiatowej, która zajmowała się parcelacją majątków ziemskich na terenie powiatu tarnobrzесkiego.

W Machowie dworu nie było. Najbliższym obszarem do podziału były włości hrabiego Tarnowskiego i właściciela Nagnajowa – Biegeleisena. Do tej powiatowej trójki weszli także: Antoni Urbaniak z Alfredówki i Jakub Rajtar ze Skowierzyna. Ponadto, w każdej wiosce wybrano po trzech ludzi, którzy mieli zajmować się sporządzaniem list z nazwiskami chłopów najbardziej potrzebujących ziemi. Taka trójkę utworzył również Józef Matyka w Machowie. W jej skład weszli: Mieczysław Niezgoda, Stanisław Zych, Stanisław Grębowiec. „Musiałem pamiętać o swoich, o machowiakach – mówi Józef Matyka. – Oni także potrzebowali ziemi. Zasłużyli na nią. W czasie okupacji narażali życie, walczyli w partyzanckich oddziałach AK i BCh. Wiedzieli, że Ojczyzna, to największy obowiązek. I teraz, kiedy ta Ojczyzna dawała wszystkim ziemię, miałem o nich zapomnieć?...”

W Machowie około 30 chłopów (czyli około 30 procent gospodarzy) otrzymało ziemię z reformy. Niektórzy dostali łąki na terenie Nagnajowa, inni znów ziemię w Kajmowie. Potem te pola nazwano „hektarami”, bo każda taka działka miała około 1 ha powierzchni. Nie wszyscy jednak z radością przyjmowali dekret o nadaniu na własność. „Byli i tacy – mówi Józef Matyka – co dekrety zwracali. Nie wierzyli, że ziemia może do nich należeć. To pańskie! – mówili. I my to mamy brać?!... Jak można dzielić pańską ziemię?! A co będzie, jak pan wróci?... Bali się, nie wierzyli.”

Ta nieufność i lęk trudne były do pokonania. Brat Józefa Matyki – Jan opowiada dziś: „Zajechałem raz na łąkę w Nagnajowie. Patrzę, a tu chłop rozgląda się wokół, jakby kradł, jakby się kogoś bał i raz po raz rwie garścią dorodną koniczynę. Pytam się: A czyje to? ... A on głowę do góry podnosi i mówi: No, niby moje, z reformy... A to czego się tak boicie, jakbyście kradli? – pytam. A on mi odpowiada: A bo to wiadomo jak i co?... A jak Biegeleisen wróci?... Dobrze i raz trochę trawy krowie w płachtę udrzeć!...”

W chłopskich głowach nie mogła pomieścić się ta prawda, że ziemia należy do nich. A przecież zawsze o tym marzyli, całe życie zabiegali, żeby mieć jej jak najwięcej... Niektórzy pluli na Matykę i znacząco pukali w czoło. „Do czegoż to się bierze – mówili. – Pańskiej ziemi mu się chce, rękę po nią wyciąga, chłopom rozdaje, jakby była jego własna. Jeszcze przyjdzie czas, że będzie ją oddawał!...”

Oswoił się powoli ludzies z tamtą ziemią, a o tym, że do pana należała zapomnieli. Urodzajna, zawsze przecież przyzwyczajona do chłopskich rąk, nie sprzeciwiała się teraz temu, że zmieniono jej właściciela. A potem przyszedł czas, że trzeba ją było zostawić. Stało się to nie tak, jak przepowiadali niektórzy, ale ziemię trzeba było oddać. Oddał ją Józef Matyka i wszyscy machowiaczy... Zostawili ją, odeszli daleko, bo przyszła siarka.

### ZAPOMNIEĆ SIĘ NIE DA

Do Machowa powrotu nie ma. Została tylko garść wspomnień i trochę zdjęć w rodzinnych albumach. Jedni zamienili ziemię, inni pozbyli się jej raz na zawsze „przyoblekając miejską skórę”. Młodzi wykształcili się, poszli w świat albo do tarnobrzесkiego przemysłu, starym brakło sił, by tę rodzicielkę do końca życia utrzymać w rękach.

Los nie ze wszystkimi obszedł się łaskawie. Czy to młody, czy stary, każdy kto w Machowie się urodził i wychował, pomyśli czasem: „Żal, że tego wszystkiego już nie ma. Każdy się jakoś urządził, każdy ma jakiś dom, ale to jakby nie nasze, obce, bo przecież nie machowskie... I tęsknić będziemy chyba do śmierci, bo tylko ona potrafi zabrać na zawsze pamięć o tym, co było, a czego już nigdy nie będzie. Dopiero chyba nasze wnuki urodzą się bez tej tęsknoty w sercu, bo Machów znać będą tylko z opowieści...”

Szeleszczą kartki w albumie. Czasem na fotografię łza spadnie nieśmiała, czasem uśmiech zabłąka się w kącikach ust... Tak, to już przeszłość jak z pięknego, dobrego snu, który śni się często. Albumy, zdjęcia wyjęte z domowej biblioteczki, zwłaszcza w zimowe długie wieczory trafiają do drżących z wrażenia rąk machowiaków. Takie rodzinne powroty do wspomnień zdarzają się u Matyków często, zwłaszcza teraz, kiedy mieszkają w bloku na „Serbinowie”. I choć to przecież ich własny kąt, czują się jakby ciągle siedzieli na walcach. Bo i jakże można inaczej, kiedy miejsca nigdzie długo zagrać nie mogą?...

Matykowie przesiedlali się dwa razy. Z Machowa musieli odejść, bo trzeba było zrobić miejsce pod kopalnię. „Kupiliśmy w Tarnobrzegu dom przy ul. Zwierzynieckiej – mówi Józef Matyka. – Dom z ogrodem. W 1964 roku przeprowadziliśmy się z Machowa. Dom był ładny, modrzewiowy. Kiedyś mieszkał w nim poeta Ferdynand Kuraś z rodziną. Kiedy spłonął jego dom w Wielosiu – z całego powiatu i kraju płynęły datki na odbudowę. Kupiono plac w Tarnobrzegu, hrabia Tarnowski drzewo na dom dał bezpłatnie... Minęło nam 15 lat w tym Kurasiowym domu i znowu musieliśmy pakować manatki. Tym razem trzeba było ustąpić miejsca pod budujące się osiedle... W Machowie – dodaje brat Józefa, Jan – mieliśmy 8 hektarów pola, nowe budynki, trzy krowy, dwa konie, świnię, kury. Długo trwała przeprowadzka, bo rady sobie dać nie mogliśmy z tymi wszystkimi gratami. Przy Zwierzynieckiej prowadziliśmy trochę mniejsze gospodarstwo. Mieliśmy ogród obok naszych zabudowań, 1 mórg sadu, coś tam się przy domu zawsze uchowało – parę kur, jakieś prosiaki... A teraz tyle nam z tego zostało, że i w rękach można by przenieść...”

Agnieszka – żona Józefa milczy. Cóż jej zostało do powiedzenia? Niewiele. Chyba tylko tyle, że ręce przywykłe do codziennej harówki nie staną się nigdy posłuszne i nigdy nie zechcą odpocząć...

Matykowie wychowali dwójkę dzieci. Córka Irena wyszła za męża, ma własną rodzinę. Syn Aleksander skończył studia i też z rodzinnego gniazda wyfrunął. Matykowie mieszkają teraz w trójkę: Józef z żoną Agnieszką i bratem Janem. „Czworo nas w domu było – mówi Jan. – Emilka, Michał, potem ja i najmłodszy Józek. Strach pomyśleć jak ten czas leci, jak to się wszystko zmieniło. Dziewięćdziesiąty piąty krzyżyk na karku już noszę. Jak tak oczy na chwilę czasem przymknę, to cały Machów widzę i to nasze obejście, i „Strugę”, i „Kał” ...I słyszę, co się dzieje na podwórzu u Tęczów, u Dąbków, bo to przecież tylko przez płot było... Przez te lata wszystkie człowiek i strachu, i biedy nie mało się najadł. Różnie bywało, ale nie było to jak w Machowie. Całe życie w roli pracowałem. Uczyłem się też szewstwa w Nagnajowie u Motyki, buty robiłem, ale krótko. Do samej wojny sklep w Machowie prowadziłem. Handlowałem też końmi. Daleko się na jarmarki chodziło i jeździło – do Opatowa, Sokołowa, Raniżowa... Potem jeździłem na targi z jabłkami. Jeździliśmy z Józkiem Kozłem, Tadkiem i Władkiem Wiąckiem, z Grębowcem „Dziurą”...

Jasiowi Matyce nikt by tych 95 lat nie dał, bo wcale na nie nie wygląda. „Pracuję, to się trzymam – mówi Jan. – Praca to najlepsze lekarstwo na wszystko”. Dziś Jan Matyka należy do najstarszych machowiaków. „Do szkoły chodziłem – mówi – ze Stachem Malarzem, Jankiem Buraczem, Wojtkiem Grażdą, Wickiem Sitkiem, Jasiem „Gnyszem” – Grębowcem...”

Nie ma Stacha, nie ma Wojtka, nie ma Jasia „Gnysza”... Odeszli tam, skąd się nigdy nie wraca... Tylko Jaś Matyka trzyma się świetnie. Przez to całe długie życie nie opuszcza go humor, zawsze jest pełen energii. Nawet to dwukrotne przesiedlenie nie zmieniło go wcale. Chociaż... – Kiedy mówi o Machowie, gaśnie ogień w jego oczach, robi się jeszcze mniejszy niż jest naprawdę i choć bardzo chciałby tę swoją tęsknotę ukryć, zamienić w żart – nie potrafi...

Nad albumem rodzinnych zdjęć Matykowie pochylają się często. Szeleszczą kartki, wracają wspomnienia... „Były dwie przeprowadzki, będzie jeszcze trzecia – mówił Matyka jeszcze 10 lat temu. – Przecież tu jesteśmy tylko tymczasowo. Nie możemy tu zostać. Kupimy coś, przeniesiemy się. Bo bez ziemi żyć się nie da. Kto ją raz pokocha – już jej nie zdradzi!...”

Matykowie ziemi nie zdradzili, ale trzeciej przeprowadzki nie było i nie będzie. Teraz są już starzy, chorzy, zmęczeni. W czterech ścianach bloku przy ul. Marii Dąbrowskiej czują się jak na komornym. Ani Agnieszka nie potrafi być tu gospodynią, ani Józef panem domu, ani Jaś – tym samym Jasiem, który był w Machowie. Czegoś im brakuje, na coś czekają, czegoś pragną. „Bo jeśli nie czuje się ziemi pod nogami – mówi Józef – nie ma tej pewności, że naprawdę się żyje. Człowiek tłucze się po tym betonowym mieszkaniu jak ptak w klatce. Wszystko leci z rąk. Bez ziemi nie jest sobą...”

W czterech ścianach mieszkania na „Serbinowie” rodzinie Matyków jest w trójkę nie tyle za ciasno, co tęskno. Bo przecież zostali bez ziemi, do której od dziecka przywykli... A o ziemi – na dodatek takiej, jak machowska – łatwo zapomnieć się przecież nie da.

## CZAS POŻEGNANIA

Kiedy w 1953 roku prof. Stanisław Pawłowski odkrył w rejonie Tarnobrzęga bogate złoża siarki, nikt w Machowie nie chciał jeszcze wierzyć, że wieś ta zniknie kiedyś z powierzchni ziemi. Potem, kiedy dokumentowano złoża i kiedy na machowskich polach, jak grzyby po deszczu wyrastały wiertnicze wieże, ludzie zaczęli ogarniać niepokój. Ale – nawet jeszcze wtedy nie wierzono, że Machowa nie będzie... Ludzie z ciekawością obserwowali poczynania geologów, oglądali próbki wydobywane z wiertniczych szybów, kiwali głowami i w zupełnym milczeniu przyjmowali wieść o wielkiej siarce.

„Czarne chmury” zawisły nad Machowem dopiero w lecie 1957 roku. Wtedy to zapadła decyzja o budowie kopalni odkrywkowej w Piasecznie i wtedy mówiło się już o kombinacie przetwórczym na machowskich polach.

W niedzielne letnie popołudnie 1957 roku, na placu koło szkoły, stawiła się cała wieś. Nigdy jeszcze w historii Machowa na żadnym zebraniu nie było tylu ludzi, jak wtedy. Każdy na własne uszy chciał przecież usłyszeć te słowa, które budziły lęk, i w które do ostatniej minuty nie chciało się wierzyć. Przyszli starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety. Ze szkolnych sal powynoszono na plac ławki i krzesła. W napięciu oczekiwano przybycia przedstawicieli władz, którzy potwierdzić mieli oficjalnie znaną już wiadomość: „Machów musi zniknąć z powierzchni ziemi”.

„Byłem na tym zebraniu – mówi Eugeniusz Janik. – Tak, to było pierwsze zebranie, które na dobre wprowadziło do wsi niepokój. Trwało długo. Dyskusja była burzliwa. Trudno się dziwić, że chłopi przywiązani od wieków do ziemi nie prędko mogli pogodzić się z myślą, że tę ziemię odziedziczoną po dziadkach i ojcach, w pocie czoła uprawianą przez całe życie, trzeba będzie opuścić... Nie, nie było sprzeciwu. Widziałem ogromny żal w oczach machowiaków, jakieś dziwne zaszepienie w twarzach. Sam się tu przecież urodziłem i wychowałem... Dlatego rozumiem ten żal i ten lęk przed nowym, obcym. Na tym pierwszym zebraniu pojąłem ten niepokój, który kiełkował w ludziach od lat, a teraz wybuchnął jak pożar... Ludzie nie umieli sobie jeszcze wyobrazić, co znaczą słowa: Machowa nie będzie... W tamto niedzielne popołudnie dowiedzieli się właśnie, że w Machowie powstanie wielki kombinat. O kopalni nie było jeszcze mowy. Każdy będzie tu mógł dostać pracę. Kto będzie chciał ziemię – dostanie ziemię, kto będzie chciał mieszkać w mieście – dostanie mieszkanie... Mówiło się wtedy o możliwościach podziału pomiędzy machowiaków ziemi w dużych PGR-ach, np. w Grębowie, Zbydniowie, Tuszynie koło Mielca...”

O przeniesieniu wsi w całości w jedno miejsce nie mogło być mowy. Od dawna jednak krążyła wśród ludzi plotka, że Machów przeniesiony będzie w Bieszczady. „Nie, na Ustrzyki nie pójdziemy! – buntowali się machowiaczy. – Nigdy! A mało to ziemi, tu, blisko?!... Za to, co zostawimy dla siarki, powinni nam wybudować nowy Machów, jeszcze piękniejszy niż ten! Dla nikogo nie powinno zabraknąć miejsca...”

Machów sielankowy i spokojny, to Machów, który pozostał we wspomnieniach. Bo przecież zwykle tak bywa, że o tym, co złe i przykre chce się zapomnieć raz na zawsze... A przecież, jak w każdej polskiej wsi, były i tutaj konflikty, waśnie, odwieczne spory o miedzę, o płot graniczny, o dojazdową drogę... I tutaj wiejska społeczność zawsze dzieliła się na gospodarzy i „dziadów” nie mających nic prócz lichej chałupiny i tego, co na grzbiecie. Wieś dzieliła się na tych mądrych i głupich, na tych ważnych i mniej ważnych, na swoich i obcych...

W lecie 1957 roku, na pierwszym zebraniu w sprawie wielkiej siarki, machowiaczy jakby nagle zapomnieli o tych wszystkich podziałach, przykrościach i sporach. Stali się jedną wielką rodziną zabiegającą o własny los, o przyszłość, która wcale nie wydawała się różowa. Lęk i niepokój scementowały serca i umysły wszystkich.

„Gdzie my pójdziemy? – zastanawiał się wtedy głośno Stanisław Tęcza. – Z dziada, pradziada na tej ziemi siedzimy.. Własna ona, nasza, jak skóra na grzbiecie... Nic innego robić nie potrafimy. Nasze ręce przywykły do pług, do czarnych skib... Co my zrobimy, jak się nas ziemi – żywicielki – pozbawi?...”

Nie tylko on, ale wszyscy we wsi bali się tego nowego, jak ognia. Nie było łatwo wytłumaczyć ludziom, że tak być musi, że – jak to się mówi – nie czas żałować róż, gdy płoną lasy... Już wtedy zapewne, na tym pierwszym zebraniu, nie jednemu miękło serce i łza wyrwała się ukradkiem spod powiek. Już wtedy dławiono w gardle, kiedy popatrzyło się na te pola, łąki i las, na każdy skrawek ziemi znany od kołyski i przez to mocno wrośnięty w serce...

Potem powołano komitet przesiedleńczy. W każdym domu wieczorem zapalała się naftowa lampa, zasiadano przy stole i długo, długo dumano, radzono nad najbliższą przyszłością. Jakoś we wsi przycichło, przygluchło, zrobiło się smutno.

Minęło sporo lat zanim ostatni gospodarz wyprowadził się z Machowa, ale już wtedy ten zasiany na pierwszym zebraniu niepokój zaczął się błyskawicznie rozrastać. I ten niepokój pozostał w ludziach aż do ostatnich dni Machowa.

\*\*\*

Pierwsze zebranie w sprawie siarki wniosło do wsi niepokój, ale jeszcze przez parę lat chłopi uparcie powtarzali: „Nie damy ziemi! Nie ruszymy się stąd!..”

Jakoś trudno było o ten pierwszy krok, choć sprawa została przesądzona, choć działał komitet przesiedleńczy i choć kombinat z każdym rokiem coraz dalej wchodził na machowskie pola i łąki. Kilkakrotnie wysyłali machowiaczy delegację do Warszawy, rozmyślali, kombinowali. Wsi w całości w żaden sposób przenieść

się nigdzie nie dało. Zapewne zgodziliby się nawet i na proponowane kiedyś Bieszczady, ale i ta propozycja stała się już nierealna. Zostały tylko trzy możliwości: Baranów, Tuszyma, Zbydniów. Potem jeszcze był Grębów. Trzeba było wybierać, ale ten wybór wcale nie był łatwy. Nie wszyscy mieli ochotę odchodzić z Machowa już, natychmiast. Może wierzyli, że jeszcze coś się zmieni, że to, co nieodwołalne uda się cofnąć, zatrzymać?...

Na początek poszli ci, którzy nie mieli już żadnych złudzeń co do przyszłości Machowa. Zbydniów wybrali: Galkowie, Sawarscy, Pózio, Sabatowie, Furmanowie, Farbiszowie, Skrzypkowie, Jestalowie, Rączkowscy (12 rodzin). Do Baranowa przenieśli się: Grazdowie, Zychowie, Podkówkowie, Pańczykowie, Wiąckowie (5 rodzin). W Tuszynie koło Dębicy zamieszkali: Tworkowie, Wołoszowie, Sabatowie, Zbiegowie, Koziołowie, Korczakowie, Stępnio wie (7 rodzin).

Nie było to łatwe rozstanie. We wsi wrzało. *Najbogatsi się zebrali, zagarnęli co najlepsze i poszli* – mówili ludzie, bo los tych pozostałych był teraz coraz bardziej niepewny, skoro podzielone już zostało to, co było do podzielenia. A przecież wśród tych „pierwszych” byli też i tacy, którym nie przelewało się, u których spiżarnia często świeciła pustkami... *Skorzystali* – mówiło się we wsi. – *Teraz dla innych nic nie zostanie...* No cóż, inni nie mogli się zdecydować – wzięli oni!... Dostali sady (Zbydniów), dostali ziemię, pieniądze, mogli zabrać też własne budynki po rozbiórce. W Machowie mieli liche, małeńkie chałupinki – tam pobudowali piętrowe piękne domy. Trzeba przyznać, że urządzili się niezłe, ale: ile ich to kosztowało!...

Rozmawiałam kiedyś z Natalią Furmanową ze Zbydniowa. „Owszem, lepiej tu mamy niż w Machowie – powiedziała. – Niczego nam nie brakuje, ale gdyby mi ktoś powiedział, że można wracać do Machowa – zostawiłabym wszystko i o północy, na kolanach bym poszła na swoją rodzinną ziemię. Nawet choćby tam niczego nie było, nawet gdyby wszystko trzeba było zaczynać od nowa...”

Jak wyglądała wyprawdzka? – Siarka dawała samochody do przewiezienia dobytku. „Drobiazgi” trzeba było przewozić na własną rękę. Pocziwe kasztanki i siwki ciągnęły więc wyładowane po brzegi wozy kilkakrotnie w ciągu tygodnia przemierzając trasę między Machowem a Zbydniowem, Tuszumą czy Baranowem. Tam, na nowym, nie było gotowych domów, nikt nie dostał do ręki kluczy, choć na początku były i takie obietniczki. Wszystko trzeba było własnymi rękami budować, tworzyć na nowo. Najgorszy był zawsze ten ostatni kurs. Najgorszy, bo najbardziej przykry. Na wóz czy do samochodu pakowało się pierzyny, ciuchy, siadały dzieci, babcie, dziadkowie... Kiedy pojazd ruszył, a potem minął ostatnią krzywą wierzbę za wsią – wiadomo było, że już nie ma powrotu, że kiedyś nie pozostanie tu „kamień na kamieniu”...

Były łzy, całowanie ziemi, zagarnianie jej garściami do pudełek, woreczków... „Choć tyle – mówili machowiaczy – choć tyle weźmiemy tej ziemi... Żeby jej na posypanie trumny starczyło... Przyjemniej, raźniej nam będzie, kiedy w obcych stronach zapachnie nam w grobie ta machowska grudka wszystkimi zapachami pól, lasów, łąk, kiedy ta odrobina ziemi spadnie na nasze powieki – czarna, jak spracowane ręce ojców i dziadów naszych, przyjazna jak chleb, który się na niej urodził... Bo całego Machowa zabrać się nie da... On zostanie w sercu. Na zawsze”.

Najbardziej przykry był jednak moment, kiedy trzeba było zburzyć rodzinny dom pamiętający radości i smutki, czasem i kilku pokoleń... Ten dom, w którym wieczorem pachniało ziemniakami i żurem podczas wieczery, ten dom, którego próg przestępowało się z radością po utrudzonym dniu, ten dom, z którego wychodziło się często lecz zawsze chętnie się do niego wracało...

Zamykali ludzie oczy, zaciskali powieki, odwracali głowy, by nie widzieć z jękiem padających ścian, by nie patrzeć na rozsypujące się jaskółcze gniazda, które przez lata tkwiły pod dachami...

Tyle było smutku i boleści w ludziach, że nawet łzom trudno było płynąć... A serce o mało nie pękło. Pierwsi mieszkańcy wyprowadzili się z Machowa w 1960 roku. Nie było ich wielu, ale był to ten pierwszy krok, który dał początek wielkiej emigracji machowiaków. Z każdym rokiem pustoszały place, dziczyły pozostawione sady. Wieczorami coraz rzadziej błyszczwały w oknach światełka naftowych lampek. Drzewa dalej kwitły wiosną, owocowały w jesieni, ale jakże smutne to było i przerażające... Tylko Kalinka wędrował jeszcze po wsi i grał na fujarce, jak dawniej, swoje pieśni. Ale w tym jego graniu coraz więcej było tęsknoty za tym, co przemija...

Dym z kominów kombinatu snuł się prawie po ziemi. Rosły nowe hale produkcyjne, coraz dalej i dalej wkraczała na machowskie pola wielka siarka. Dla Machowa nadchodził jednak ostateczny czas pożegnania.

### **NAPALCIE ZE MNIE POPIOŁU...**

*Las - ojciec nasz, a my dzieci jego idziemy do niego* – śpiewało się w starej jak świat lasowiackiej piosence. Las dawał drzewo na budowę domów i opał, dawał zwierzynę, jagody, grzyby, kiedy trzeba udzielał schronienia...

Kiedy w latach trzydziestych pan hrabia kazał las wyciąć, wykarczować – machowscy chłopcy posmutnieli. „Jakże to – mówili – skazywać na śmierć takie drzewa, jak rękę podnosić na takie olbrzymy?... A czy kara Boska człowieka za to nie spotka?... – szeptali co przesądniejsi.

Machowski las, a ściślej bór, był rzeczywiście stary, piękny, a potężne dęby liczyły sobie zapewne ładnych kilka setek lat. Pewnie też i sosny pamiętały kilka wieków, bo była to niewątpliwie pozostałość po królującej tu niegdyś Sandomierskiej Puszczy.

„Wyrok” wydany na machowski bór został wykonany. Widocznie pan hrabia potrzebował pieniędzy i las musiał sprzedać, a za takie drzewa i za sprzedaż wykarczowanej już ziemi dostał ich zapewne niemało. Pod toporami padły stare drzewa. Pod ich korzeniami znaleziono bardzo dużo glinianych garnków przemyślnie, choć ubogo zdobionych, wypełnionych popiołem. Te garnki ludziom spokoju nie dawały, więc sprowadzono specjalistów z Warszawy i okazało się, że to urny z prochami przodków liczące sobie około 2 tys. lat. Urny powędrowały do warszawskiego muzeum, a na wykarczowanej ziemi posiano zboże. Nikt już właściwie o cmentarzysku nie pamiętał, ale ziemia sama przypominała o przeszłości wiele lat później – kiedy na machowskie pola wjechały koparki, spychacze i inne maszyny, i kiedy przystąpiono do budowy kombinatu. W ziemi znów zaczęto znajdować skorupki. Z Muzeum Archeologicznego w Krakowie przyjechał mgr Adam Krauss, skrzętnie te skorupki pozbierał, posklejał i część z nich powędrowała potem do baranowskiego muzeum.

Kiedy myśli się o tamtych czasach, o których tylko skorupy wyrzucone przez ziemię mówić potrafią, zaraz przypomina się piosenka, którą w latach pięćdziesiątych machowski Zespół Pieśni i Tańca „Lasowiak” śpiewał w czasie występów w różnych miejscowościach w całym kraju. *Napalcie ze mnie popiołu i rozsijcie mnie po calusieńkiem polu. Wyrósnie ze mnie stokrótko – będzie mnie płakał, będzie żałował i ojciec, i matka...* – Czyżby w tej właśnie piosence brzmiała nuta tamtych czasów, czyżby w niej zachowało się echo przeszłości?... Czy śpiewano ją właśnie wtedy, kiedy obyczaj nakazywał spalić ciało umarłego, popiół wysypać do glinianej urny i do niej włożyć także cenne przedmioty, ozdoby, a do rodzinnego grobowca przynosić pożywienie, bo człowiek, który odszedł, wraca do miejsca, w którym się urodził i żył?... Ta pieśń to zagadka, której do tej pory jeszcze nikt nie pokwapił się rozwiązać. Słowa jej, mimo wszystko, przenoszą w odległą przeszłość.

Wróćmy jeszcze do boru. Opowiadano o nim przeróżne historie, wszyscy byli przekonani, że tam właśnie straszły, że mieszkali w nim zbóje, czarownice, że nawet w biały dzień niebezpiecznie było znaleźć się tam samemu. Tych wszystkich legend, opowiadań i historii wytworzonych przez wybujałą chłopską wyobraźnię nie bał się Michał Kubicki nazwany „Pielgrzymem”. Zamieszkał w borze. Porzucił swój rodzinny dom w Siedleszczanach i tu wiódł pustelnicze życie. Kubicki to ciekawa postać. Pielgrzymem rzeczywiście był; jego pątnicze wędrówki nie skończyły się na krajowych ścieżkach. „Do Ziemi Świętej muszę pójść” – mawiał zawsze „Pielgrzym”. Ludzie nie wierzyli a on upierał się przy swoich marzeniach i wkrótce wybrał się w tę największą ze swoich podróży. Minęło sporo czasu zanim znów pojawił się w rodzinnych stronach. Z tej wędrówki przyniósł nie tylko wrażenia, wspomnienia, które chętnie opowiadał ludziom. Na pątniczym szlaku spotkał człowieka, który nauczył go rzeźbić. Kubicki był bardzo zdolny, nauk mu nie było potrzeba, ale rady i wskazówki, które otrzymał od jakiegoś fachowca, bardzo mu się przydały. Odtąd wiele wiejskich domów przystroili jego rzeźby. A już specjalnie potrafił z kawałka drewna wydłubać „Frasobliwego” albo „Ukrzyżowanego”. W twarzach tych jego Chrystusików było coś przerażającego, coś dziwnego, jakiś zamknięty ból, człowiecze cierpienie, jakaś smętna zaduma nad ludzkim losem. Nie, nie były te rzeźby typowo ludowe, takie, które dziś stoją na półkach „Cepelii”. Było w nich piękno. Machowiaci poprosili go o „Frasobliwego” do kapliczki, która od przeszło stu lat stała przy drodze w samym centrum wsi. Wyrzeźbił. Do ostatnich dni siedział sobie ten „Frasobliwy” w kapliczce, patrzył smutnie na machowską wieś. Żegnali się z nim machowiaci opuszczający tę ziemię na zawsze. I wreszcie któregoś dnia... zniknął. Wiatr tylko uparcie kołysał oszklonymi drzewczkami, jakby je chciał zatrzasnąć, żeby zamknąć pustkę po frasobliwym świątku... Konia z rzędem temu, kto wie, gdzie dziś znajduje się ta wspaniała rzeźba; zresztą, nie tylko ta jedna. Los „Frasobliwego” podzielił także Św. Florian – wspaniała figura patrona strażaków, która również przez długie lata „mieszkała” w kapliczce stojącej w ogrodzie Juliana Rawskiego...

Bór wycięto, o „Pielgrzymie” zapomniano, „ulotniły się” gdzieś machowskie świątki, Machowa nie ma. Zostały wspomnienia, wiersze, pieśni, które machowiaci pamiętają i śpiewają, gdy tęsknota czasem do serc zastuka. Tamten Machów żyje w tych pieśniach. Trudno sobie nie wyobrazić tych kwitnących wiosną sadów, nie widzieć łąk i pól ciągnących się do wiślanych brzegów, kiedy słyszy się takie słowa: „Są tu ładne chatki a na Górcie dzwonek – czasem się odezwie, jak w polu skowronek. A w pobliżu dzwonek – szkoła murowana, rękami pradziadków naszych budowana. Wiosną kwitną kwiaty, latem zboża złocą, a na mokrych łąkach bociany klekocą. Pod oknami chatki ogródki z kwiatkami... Na mostkach się śmieją dziewczęta z chłopcami...”

Często powraca także tamta melodia, która dla machowiaków być może miała w sobie coś proroczego: *Napalcie ze mnie popiołu i rozsijcie mnie po calusieńkiem polu... Wyrósnie ze mnie róży kwiat – będzie mnie płakał, będzie żałował cały świat...*

Rozsypali się machowiaci jak popiół, jak jesienne liście gonione przez wiatr, rozjechali się w cztery świąta strony. Czas pozacierał ślady. Nie wyrósł róży kwiat ani „lelija”, ani stokrótko... Choćby się bardzo chciało, nie da się już do Machowa wrócić. Tylko tęsknota brzęczy w sercu ciągle jak natrętna mucha, której odpę-

dzić się nie da. Tylko czasem jeszcze przyśni się jabłoniowy sad, stary bór, chatka pustelnika „Pielgrzyma”, smutny świątek z przydrożnej kapliczki, gdzieś na dnie serca zaszumi łąka pełna rosy w letni poranek...

### MALOWANKI – CACANKI

W latach pięćdziesiątych na drogach wsi i miasteczek spotkać można było wędrownych handlarzy „dzieł sztuki”. Szli od wsi do wsi, od domu do domu, oferując gospodyniom wytwory swoich lub cudzych rąk i wyobraźni. W owym czasie modne były jelenie na rykowisku w blasku zachodzącego słońca, łabędzie na błękitnym jak len stawie... Można też było za parę złotych zrobić sobie na wieczną pamiątkę kolorowy portret ślubny ze zdjęcia wykonanego przed laty, można było kupić jaskrawe, ozdobione wianuszkiem kwiatów święte obrazy... Nie było zapewne w całym Tarnobrzесkim domu, w którym by taki wędrowny handlarz nie proponował swoich usług, i w którym by nad małżeńskim łóżem nie wisiała taka kolorowa makatka czy kilimek. Jedynie chyba w Machowie ci wędrowni „artyści” natrafiali na pewne trudności, a nawet opór. Było i tak, że z hukiem wyrzucano ich za drzwi. Nie podobały się machowiakom malowane seryjnie, od szablonu jelonki, pstre kilimki, jaskrawe bukiety kwiatów. „Marysia nam namaluje – mówiły gospodynie – Marysia to robi najlepiej. Marysine kwiatki, gaśki, kogutki – jak żywe!...” No i Marysia (Kozłowa) malowała: róże, bzy, słoneczniki, astry, malwy, bukiety polnych kwiatów, jelenie, wierzby płaczące, wiejskie sadzawki obsypane wiosną złotem kaczeńców, białe brzozy przeglądające się w strumyku... Malowała obrazki, kilimki, makatki, serwetki – na papierze, na płótnie, na desce... Kiedy się wieść o tym malowaniu rozniosła, do Machowa przyjeżdżać zaczęli ludzie z sąsiednich wsi, a nawet z dalszych okolic i kazali sobie wyczarowywać na płótnie kwiaty i wiejskie krajobrazy – dla siebie, dla sąsiadów, dla rodziny gdzieś na drugim krańcu Polski, albo w Ameryce czy Francji.

Kozłowa swoich umiejętności nie trzymała pod kluczem. W Machowie zdolnych ludzi nie brakowało. Kobiety chętnie odwiedzały Kozłową, pomagały jej w tej plastycznej twórczości, podpatrywały – ucząc się wiele, a potem próbowały tworzyć same. „Zimą – mówi Janina Tęczowa – kiedy wieczory były długie i czasu więcej, zbierałyśmy się u Kozłowej i robiłyśmy kwiaty – z bibuły, z kolorowych papierków, z płótna... Każda przecież chciała mieć w domu taki wspaniały bukiet na stole. Robiłyśmy też pająki, które potem ozdabiały sufity naszych mieszkań. Przed każdą zabawą, czasem do białego rana – ze świecidełek, z kolorowych wstążek, bibulek – kleiło się, szyło kombinowało kotyliony. A jeden ładniejszy od drugiego!...”

„Przez cały rok zbierałam pióra z kur – mówi Katarzyna Pańczyk. – Jak już którąś z mojego stada wzięłam pod nóż, to powoli, bez oparzenia, obdzierałam piórko po piórku i chowałam skrzętnie do torebek. Z tych piór robiło się przepiękne kwiaty”. Tym kolorowym, bibułkowym kwiatom brakowało tylko zapachu. Wyglądały jak żywe, prawdziwe, zamieniały domy w bajeczne ogrody. „Kiedyś – mówi Katarzyna Pańczyk – byliśmy na wystawie sztuki ludowej w Kolbuszowej i tam widziałyśmy śliczne pająki z ziarenek grochu. Pozazdrościliśmy i chcieliśmy zrobić takie same. Ale – jak tu groch na nitkę nawlec, kiedy taki twardy?... Namoczyłyśmy więc parę kilo dorodnych ziaren w wodzie. Cieszyłyśmy się, że piękne pająki mieć będziemy. Kiedy następnego dnia zajrzałyśmy do naszego grochu – o mało nie zemdlałyśmy z wrażenia. Nasz groch porodził „gęby”!... Najwięcej śmiechu mieli nasi mężowie. Przy każdej okazji wytykali nam, że takie to z nas gospodynie, co to nie wiedziały, że groch w wodzie szybko kiełkuje...”

Pod koniec lat pięćdziesiątych powstał w Machowie zespół malarek, należało do niego kilka młodych dziewcząt (Anna Tęcza, Zofia Janik, Bronisława Wołosz, Zofia Kozioł). Wciągnęły się też i starsze kobiety (Katarzyna Pańczyk, Janina Tęcza, Natalia Farbisz). Kobiety i dziewczęta wysyłały swoje prace na wystawy i konkursy. Ich sukcesy były dla całej wsi wielkimi wydarzeniami. Cieszyli się wszyscy – starzy i młodzi, drżeli ze wzruszenia, kiedy o machowskich artystkach napisano w gazecie. Machowianki przejawiały również nieprzeciętne zdolności w dziedzinie haftu. Najpiękniejszy był ten tradycyjny, taki, jakim babki i prababki ozdabiały odświętne lniane stroje. Roślinne motywy – niby proste, zwyczajne – były niezwykle pracołonne przy wykonywaniu, wymagały olbrzymiej cierpliwości. Tymi motywami – w kolorze czerwieni, brązu i czerni – ozdabiały machowianki obrusy, serwetki, chustki, pościel.

Przed Bożym Narodzeniem robiło się w każdym domu ozdoby choinkowe, przed Wielkanocą – pisanki. Na dożynki, wesela, pogrzeby wiło się wieńce. Panna młoda ubierana była zawsze przez wiejskie artystki, które na długie tygodnie przed weselem zastanawiały się, jaki wianek na głowę jej włożyć, by był taki, jakiego nikt jeszcze nie miał...

Łatwiej chyba byłoby wyliczyć, czego się w Machowie nie zrobiło, niż w przybliżeniu wymienić wszystko, co potrafiły te uzdolnione kobiety.

Dziś, kiedy po Machowie śladu już nie ma, przepiękne wytwory sztuki ludowej, dzieła machowianek można oglądać w kilku muzeach i skansenach w Polsce.

Los rozrzucił machowiaków, jak wiatr jesienne liście... Każdy gdzieś musiał zacząć inne, nowe życie. Na pamięci o tej ciekawej i pięknej nadwiślańskiej wsi osiadł kurz – zupełnie, jak na tamtych kwiatkach i barwnych kilimkach, które do dziś zdobią muzealne sale...

### NIE POZOSTANIE KAMIEŃ NA KAMIENIU...

Przeszło dziesięć lat trwało wysiedlenie. Dziwny to był okres dla Machowa. Dziwny, bo choć siarka stała się faktem, ludzie do ostatniej chwili uwierzyć nie mogli, że trzeba stąd naprawdę odejść. Nawet pisemne wezwanie do Działu Wywłaszczeń, nawet to, że wielu już z Machowem pożegnało się na zawsze – jakoś nie przekonywało do końca. Wrosli w tę ziemię jak stare kilkusetletnie drzewa, zakorzenili się w niej tak mocno, że nie sposób było ich oderwać.

Dla Machowa wysiedlenie było prawie „końcem świata”. Niby jeszcze żyło się tu normalnym życiem, a jednak spokoju nigdy nie było. Dziewczyny wychodziły za mąż, chłopcy żenili się, rodziły się dzieci, na piaszczysty wzgórek wiecznego odpoczynku w Miechocinie odchodzili najstarsi... Na wiosnę kwitły sady, latem złociły się zboża, jesienią snuła się nić babiego lata jak dym znad szarych kartoflisk... Niby normalnie... Z każdym rokiem jednak zaczęło ubywać mieszkańców. Po tych pierwszych, którzy wybrali Zbydniów, Tuszymę i Baranów – ruszyła następna fala. Dziś próbuję się doliczyć, gdzie i ilu machowiaków osiedliło się na stałe. Gdzie? – Baranów, Zbydniów, Tuszyma, Padew, Mielec, Nowa Dęba, Stalowa Wola, Grębów, Sandomierz, Trześń, Wrzawy, Gorzyce, Dzierdziówka, Sielec, Sobów, Kajmów, Miechocin, Ocice, Suchozrów, Siedleszczany, Nagnajów, Skopanie, Mokrzychów, Wymysłów, Kraków, Brzesko-Okocim i wreszcie Tarnobrzeg...

Rozproszyli się machowiacy po świecie jak jesienne liście gnane szalonym wiatrem, rozsypali się jak ziarenka piasku... Minęło już przeszło trzydzieści lat, jak ruszyli z Machowa tamci pierwsi... Kiedy dziś pytać ich, jak im się wiedzie – odpowiadają, że jeszcze jakoś nie wrosli w to „nowe”...

Raz w roku punktem zbornym dla machowiaków jest cmentarz w Miechocinie... Na Święto Zmarłych ciągną tu z odległych stron nie tylko po to, żeby odwiedzić mogiły najbliższych... Czas robi swoje – posiwili, przybyło zmarszczek, podorastały już ich wnuki, a w sercu ciągle jeszcze tamten Machów...

Nadchodziły ostatnie dni. We wsi było coraz bardziej pusto i szaro. Co roku jednak jaskółki lepily jeszcze gniazda pod dachami domów, co roku na wiosnę powracały do gniazda bociany. W 1968 roku bociany znalazły się w niebezpieczeństwie. Ktoś kupił to drzewo, na którym od lat mieściło się ich gniazdo. Lato było, kiedy na podwórko do Fudali zajechał „właściciel” owego starego dorodnego jesionu. A bociany jakby coś przeczuwały, jakby wiedziały, że stanie się coś okropnego. Krążyły smutne, pełne bólu nad gniazdem, przysiadły na dachu obok. Wreszcie zgrzytnęła piła. Nie można było jednak nie zauważyć rozpaczyny ptaków... Człowiek przerwał pracę. Bociany uspokoiły się. Drzewo zostało ścięte dopiero w zimie. Ale na wiosnę bociany przyleciały znowu. Bezbłędnie, jak zawsze, trafiły na podwórko u Fudali. Tylko, że tam już nie było tego starego jesionu. Bezdomne ptaki krążyły przez tydzień czy dwa nad tym miejscem. Potem przepadły gdzieś bez wieści i nikt ich już więcej nie zobaczył.

W biblijnej przypowieści powiedziano, że drzewo, które owoców nie rodzi, trzeba wyciąć... W Machowie wszystkie drzewa rodziły do ostatka, a jednak poszły pod siekiere. Przykro było patrzeć, kiedy na ziemię padały dorodne jabłonie, stare grusze rodzące słodkie jak miód gruszki... Takie sady po wycięciu wyglądały jakby przez nie przeszedł orkan. Taki widok sprawiał więcej bólu niż rana, która nie może się zagoić...

Połamane płyty, sterty gruzu na placach, wycięte drzewa w sadach i ogrodach... Szarość, szarość, szarość... Wieczorami, tu i ówdzie, paliła się w jakimś oknie naftowa lampka, ale jej płomyk też był jakby słabszy, ciemniejszy.

*Nie pozostanie kamień na kamieniu* – powtarzali machowiacy te prorocze słowa i odchodzili jeden po drugim, rozjeżdżali się w różne świata strony, żeby już nigdy tu nie wrócić.

Wielka siarka wkroczyła na dobre do wsi. Ruszyła budowa kopalni. Wieczorami, kiedy milkły odgłosy z gospodarskich obejść, słychać było szum, zgrzyt, warkot pracujących koparek, taśmociągu i innych maszyn... „To nasza ziemia płacze – mówili machowiacy – to ona tak krzyczy, broni się przed napierającymi maszynami. Nie możemy jej przecież już ochronić, pomóc jej...”

I przyszedł rok 1970. Z Machowa wyprowadził się ostatni mieszkaniec – Jan Świątek.

*Ciąg dalszy w kolejnym numerze „Afisza”*

---

## STATKIEM PO RENIE

Ren to jedna z największych rzek w Europie. Swój początek bierze w Alpach szwajcarskich, by po ponad 1300 km biegu wpaść w objęcia Morza Północnego u wybrzeży Holandii. Ta dziś prawie całkowicie uregulowana, przez co na wielu odcinkach pozbawiona swych naturalnych uroków rzeka, ma jednak fragment swojego biegu wyjątkowy; składają się nań: malowniczość, historia i legenda. Leży on w Niemczech i rozciąga się na przestrzeni ponad 100 kilometrów pomiędzy miastami: Moguncją (Meinz) i Kolonią (Köln).

Można przebyć tę trasę na pokładzie jednego z licznie kursujących po Renie statków wycieczkowych. Warto poświęcić kilkadziesiąt euro, by stać się świadkiem i uczestnikiem niezwykłych przeżyć i wrażeń. Dla bardziej oszczędnych i wytrzymałych proponujemy trasę biegiem rzeki, najlepiej rowerem, po malowni-

czo wijącej się obok wody drodze. Zanim w Moguncji wsiądziemy na pokład statku warto odwiedzić to miasto, będące stolicą landu, założone jeszcze w czasach rzymskich. Szczególnie warta polecenia jest jedna z trzech największych w Niemczech gotyckich katedr. Prawie vis a vis Moguncji, na przeciwległym brzegu Renu leży Wiesbaden, stolica Hesji, jeden z najpiękniejszych niemieckich kurortów. Już początek trasy potrafi zaspokoić nawet najwybredniejsze estetyczne gusta. Oba brzegi, najpierw o łagodnych zboczach, porośnięte winną latoroślą, co nieodparcie wskazuje, że znajdujemy się w krainie reńskiego wina, po kilkunastu kilometrach zaczynają przyjmować formy strzeliste. Zanim to jednak nastąpi, po jednej i drugiej stronie mijamy ruiny bądź zachowane w całości średniowieczne zamki i warownie. Jedną z nich jest tzw. Mysia Wieża, której historia do złudzenia przypomina losy naszej Kruszwicy i króla Popieła. Jego niemieckim odpowiednikiem był biskup Hetto II. Na prawym brzegu pomnik historii już nam bliższej. Na wysokości 225 m, nad rzeką wznosi się tzw. „Germania”, pamiątka zwycięstwa niemieckiego w wojnie prusko-francuskiej z 1870-1871 roku.

Strzeliste brzegi porośnięte bogatą roślinnością przypominają trochę nasz przełom Dunajca. Tutaj jednak miast koron szczytów górują ruiny zamków, wprowadzając nastrój bajkowy. Na dodatek ten odcinek Renu obfituje w wyspy, również skaliste i pokryte bujną roślinnością, i architektonicznymi pamiątkami z przeszłości, które wracają nas w czasy tzw. rycerzy rozbójników, żyjących często li tylko z łupiestwa. Uwagę zwracają miasta Keub, Becharach i Oberwesel, z dobrze zachowanymi murami i wieżami obronnymi.

Powoli zbliżamy się do jednego z najostrzejszych zakrętów na Renie, za którym czai się pułapka – przeszkoda, z którą w dawnych czasach wielu marynarzy miało sporo kłopotów. Wystające „nagie” skały tzw. „7 dziewic”, to znak, iż za chwilę dotrzemy do najsłynniejszego, uwiecznionego w literaturze i mitach punktu naszej podróży, do skały zwanej „Lorelei”. Ponad 130-metrowy skalisty brzeg, urwisko jest miejscem, gdzie przebywa „uwodzicielka”, której głos zwiódł już tylu śmiałków, którzy wg legendy, goniąc za ulotnym pięknem rozbijali swoje statki o skałę. Ponoć u stóp skały można usłyszeć echo dopiero co miniętych „7 dziewic” Dla nas jednak, dzięki Bogu, „Lorelei” okazała się łaskawa i mogliśmy płynąć dalej, podziwiając ze środka rzeki miasteczko St. Goar, zawdzięczające swoją nazwę żyjącemu tu w VI/VII w. świętemu patronowi oberżystów i garncarzy.

I znów cała seria ruin i dobrze zachowanych zamków, z których największe wrażenie robi bajkowy Marksburg w Branbach. Dalej na horyzoncie widać zarysy większego miasta – Koblencki. Tu do Renu wpływa Mozela. Miasto wcina się w nurt obu rzek tworząc tzw. „Niemiecki Trójkąt”. Ma ono również bogatą przeszłość sięgającą czasów rzymskich. Z rzeki widać wieże gotyckie i renesansowe katedr. Na przeciwległym brzegu majaczy potężna bryła twierdzy, to następne miasteczko Ehrenbreitstein. Zaraz za mostem łączącym obydwa brzegi Renu, na środku rzeki znów duża wyspa – to Ulmitz. Tu w 55 roku przed Chrystusem Juliusz Cezar po raz pierwszy przekroczył Ren, przenosząc granicę rzymskiego imperium na jego wschodni brzeg. Położone co parę kilometrów po obu stronach rzeki miasteczka (Bad Hönningen, Bad Breisig, Sinzig), to w większości ośrodki turystyczno-wypoczynkowe. Okazuje się, iż teren ten obok doskonałych gatunków win obfituje również w źródła mineralne i źródła wody gorącej. One przyciągają w te strony kuracjuszy z całych Niemiec.

Znów wpływamy w przestrzeń historii i legendy. Najpierw mijamy Rolandsen związany z rycerzem Karola Wielkiego, Rolandem, który tu doświadczył miłosnych i tragicznych uniesień, następnie płyniemy obok Königswinter kuszącego nas barokową i klasycyzującą architekturą. Jest on jakby podnóżkiem dla górujących nad nami 7 nagich skał mających ponad 300 m każda, zwieńczonych ruinami zamków i klasztorów. Docieramy do Bonn, stolicy Niemiec, miasta, gdzie urodził się i żył Beethoven, miasta, które swoją powojenną karierę zawdzięczało pochodzącemu stąd kanclerzowi Adenauerowi. Miasto to, to mieszanina tradycji (pozostałości po czasach rzymskich i bogate ślady średniowiecza) i nowoczesności, doskonale ze sobą zharmonizowanych i współżyjących. Brzegi Renu stają się tu znów łagodne, a ich otoczenie zatracza baśniowy charakter. Czeka nas jednak jeszcze jedna atrakcja. Jest nią cel naszej podróży – Kolonia. Witą nas ona słynną katedrą. Budowana przez kilka wieków (od XIII po XIX w.) robi wrażenie tworu wzniesionego nie ludzką ręką. Ogrom budowli, która jednak nie przytłacza, przypominając wystający z wnętrza ziemi baśniowy twór. Gotyk nadaje jej niebywałą lekkość. Każdy element i detal tej budowli jest dziełem sztuki samym w sobie. To największa gotycka budowla wzniesiona na północ od Alp. Kolonia, ponad milionowe miasto kryje w sobie wiele innych cudów, choć swoją największą sławę zawdzięcza właśnie katedrze i wodzie kolońskiej.

Tu kończy się nasza ponad 150-kilometrowa podróż, której przewodnikiem był Ren. Rzeka, która tworzyła i tworzy historię. Rzeka, która pociąga i czasami przeraża. Rzeka, bez której dzieje naszego zachodniego sąsiada o ileż byłyby uboższe.

Tadeusz Zych

---

**Dominika Pyka**

- uczennica klasy I Gimnazjum Nr 1 w Tarnobrzegu.

### Zabawka

Miałam dwa lata,  
Gdy kupiła mi ją mama.  
Pluszowa, kolorowa,  
Dająca pierwsze,  
Dziecięce szczęście.  
Pamiętam ją dobrze,  
Kolorowy miś  
Mały i zabawny.  
Darłam go za ucho,  
Gdy rosły mi pierwsze ząbki.  
Miałam go ze sobą  
W wózekczku,  
Babcia zabierała nas na  
Spacer po parku.

Rosłam,  
Na półce więcej zabawek.  
Kolorowy miś,  
Rzucony głęboko  
Na dno.

Szarzeje, biedna maskotka.  
Moje małe oczka  
Dzielnie jej wypatrują.  
Mam naście lat,  
Zapomniałam o mojej zabawce.  
Ona o mnie pamięta,  
Bo przytulałam ją do snu  
Co dzień.

27.02.2005 r.

---

## JAN Z CZARNOLASU

*„Służmy poczywiej sławie, a jako kto może,  
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże”*

Z renesansową elegancją słowa poeta, **Grzegorz Kociuba**, przybliżył twórczość **JANA KOCHANOWSKIEGO**, licznym gościom wernisażu wystawy „Jan z Czarnolasu”. Twórczość poety, zebraną w najciekawszych jej edycjach, prezentuje wystawa w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Tarnobrzegu. Celem organizatorów ekspozycji jest przypomnienie i uświadczenie, szczególnie młodzieży szkolnej, że poezja Mistrza z Czarnolasu wciąż fascynuje i wzrusza, jest czymś żywym, bliskim, codziennym. Czytali i podziwiali ją współcześni poeci, czytały następne pokolenia, urzeka nas, będą ją czytać potomni. W tym jej wielki i nieprzemijający sukces.

Niewątpliwą atrakcją wystawy są unikatowe staropolskie wydania dzieł Kochanowskiego z 1611 r., 1612 r. i 1639 r., drukowane w krakowskiej drukarni Andrzeja Piotrkowczyka. Inicjatorem wydania był Jan Januszowski, przyjaciel poety, autor listu dedykacyjnego do Jana Myszkowskiego, otwierającego zbiór „*Jan Kochanowski*”. List, drukowany jako wstęp w wydaniach utworów poety przez dwa stulecia, mówi o zamiśle Kochanowskiego sporządzenia zbiorowego wydania swych dzieł, jest także pierwszą próbą oceny krytycznoliterackiej twórczości poety, który „...zostawił po sobie, choć niewiele, jednak tyle, ile wszystkim dosyć, a podobno i rzec mogę, więcej niż owi, co pisali wiele”. Ciekawostką wydania jest przywilej podpisany przez króla Stefana Batorego, zakazujący druku dzieł Kochanowskiego bez zgody poety lub jego rodziny, czyli uregulowane prawa autorskie w XVI wieku!

W trzechsetną rocznicę śmierci poety wydano Jana Kochanowskiego „*Dzieła wszystkie*” (1884 r.). Komitet wydawniczy założył sobie: „wzniesić trwałe pomnik pierwszemu nie tylko u nas, lecz w całej Słowiańszczyźnie poecie”. Wydanie pomnikowe oparte na pierwodrukach i na pierwszym wydaniu zbioru przygotowanym przez Januszowskiego, obejmuje całość polskich i łacińskich utworów, z zachowaniem wszystkich cech języka i pisowni XVI wieku.

Interesujące są także „Dzieła wszystkie” Jana Kochanowskiego, zatwierdzone uchwałą sejmową z 1978 r. dla uczczenia rocznicy czterechsetlecia śmierci poety, zwane wydaniem sejmowym, bądź narodowym. Trzynastotomowy zbiór zawiera teksty staropolskiego autora w dwóch wersjach: fototypii (wierne podobieństwo do oryginału) i transkrypcji (w miarę zmodernizowana pisownia, zrozumiała dla współczesnego czytelnika, przy równoczesnym zachowaniu cech języka zabytku). Ciekawostką tej edycji jest „*Psalterz Dawidowy*” w przekładzie Kochanowskiego z melodiami Mikołaja Gomółki.

Unikalne wydania uzupełniają reprodukcje portretów poety i osób blisko z nim związanych. Szczególnie zaakcentowano powiązania z rodem Tarnowskich, hetmanem Janem z Tarnowa, jego synem Janem Krzysztofem Tarnowskim oraz Stanisławem Tarnowskim, organizatorem obchodów trzechsetletniej rocznicy śmierci poety, w ramach których wydał publikację „*Co Polacy o Kochanowskim napisali*”. Natomiast liczne cytaty z utworów poety obrazują wielość i różnorodność gatunków jego poezji, tworzonej z niebywałym kunsztem, docenianej i podziwianej nie tylko przez czytelników. Najwybitniejsi pisarze i poeci na przestrzeni wieków, po współczesność, odnajdują w tej poezji wartości godne jej upowszechniania.

Organizatorzy serdecznie dziękują za udzielenie ekspozycji na wystawę Dyrekcji i Pracownikom Muzeum Diecezjalnego w Sandomierzu oraz Biblioteki Wyższego Seminarium Duchownego w Sandomierzu.

Wystawa czynna była do 30.04.05.

Elżbieta Kołba

## VERBUM

### Grażyna Dłużniewska

93-360 Łódź, ul. Paradna 90 B

tel. 654-74-44, e-mail: [grazynad@skynet.org.pl](mailto:grazynad@skynet.org.pl)

Absolwentka grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Tworzy w zakresie malarstwa, grafiki i ceramiki. Uczestniczy w wystawach indywidualnych i zbiorowych. Dzieli się swoją wiedzą i doświadczeniem plastycznym z dziećmi, młodzieżą i dorosłymi podczas zajęć, plenerów i warsztatów.

Pisze wiersze. Pierwsza ich publikacja ukazała się na łamach naszego „Afisza” (nr 18, I kwartał 2004 r.).

#### Śnieg

Dookoła własnej osi,  
w ciszy,  
skupione  
nad tajemnicą stworzenia,  
suną postrzępione płatki  
z góry w dół.

Powoli śnieg przykrywa  
każdy fragment  
konstrukcji w przyrodzie  
ujawnionej wcześniej  
przez zimę,

Zastygły, niebo i ziemia  
przytulone w białym uścisku,  
na horyzont nie starczyło  
już miejsca.

2004 r.

#### Deszcz

Dziś od rana  
rytm dnia  
wystukuje woda  
z rynny.

Leżę w łóżku,  
słucham,  
przypominam sobie  
inne dni  
mokre od tej melodii  
i inne rynny,  
których muzyka  
wypełniała dzień –

- naczynie bez granic  
otwierane i zamykane  
przez słońce.

2002 r.

### **Marzec**

Przyleciały żurawie.

Jak znoszone ubranie  
marcowy śnieg  
ścięty przez mróz  
pęka w szwach.  
Niechętnie ustępuje  
brązowym, szorstkim  
skrawkom ziemi.

Brak jeszcze zapachu,  
ale słoneczne ciepło  
wędruje ciekawie  
po odkrytych obszarach,  
otwiera to co zima  
zatrzasnęła.

Dereń czerwienią  
smukłych gałęzi  
wyruszył w stronę lata.

2004 r.

### **Maj**

Wirtualna zieleń  
skanowana przez słońce  
na porowatą ścianę  
odciska wzór  
w brzoskwiniowym kolorze.  
Chłód nie chce ustąpić.

Mrok porzuca  
ziarenka piasku,  
koniuszki traw,  
kasuje światło  
brzuchom chmur,  
wstaje lawiną  
ponad horyzont,  
milczeniem domyka  
majowy dzień.

2004 r.

### **Lipiec**

Rozpędzony pociąg  
za progiem miasta  
wpada w sieć  
utkaną przez pola  
- zielone skrawki,  
- domina rozrzucone  
po podniebnych  
przestrzeniach  
hojną ręką  
jak okiem sięgnąć.

Trawy siwieją,  
powietrze przetyka  
platynowa mgiełka,  
srebrzysta zieleń  
połyka wiązki światła.  
Słońce każdą formę  
podkreśla starym złotem.

2004 r.

### **Sierpień**

Otulony

mleczną bibułą krajobraz  
trwa w „bezruchu”.  
Nad horyzontem  
spłwiał błękit małpuje  
kolor wyschniętego piachu.  
Nawłóć  
rozsypana po polach  
kipi wzniosłymi kępami,  
żółte pióropusze  
łaskoczą rozedrgane powietrze.

Piasek  
omdlewa z gorąca, leniwie  
zatacza łuki, owale  
punkt po punkcie...  
Czerń  
wyrusza spośród zieleni,  
gwałtownie zagarnia ciernie,  
które szybko  
zmykają przed słońcem.  
2002 r.

### **Mapa**

Krótką, Pomarańczowa,  
dwa szlaki jedwabne.  
Krótką przebiegłam dzieciństwo,  
Pomarańczowa burzliwie  
wprowadzała w dojrzałość.  
Przystanek autobusowy  
z drogą powrotną  
do piętrowego domu  
łączy sosnowy zagajnik.  
Jeszcze dziś kryje  
rozsypane pocałunki.  
Dalej parterowe domki  
w zadbanych ogródkach,  
drewniane lub murowane,  
jakaś zardzewiała furtka  
do nieistniejącej posiadłości...  
Światło rozpycha się  
w gęstwinie liści,  
mowa ptaków i zwierząt  
pisze ścieżkę dźwiękową.

Sen niestrudzenie  
wszystko odtwarza.  
2004 r.

### **Małpi Gaj**

Jestem mieszkanką  
Małpiego Gaju!  
Koślawe schody,  
pierwsze piętro,  
biała kuchnia kafłowa,  
dwa wysokie pokoje,  
szeroki taras,  
dalej brzoza  
na wyciągnięcie ręki.

Od wschodu sosny,  
splątane krzewy i  
drzewa od zachodu.  
Wiosną zapach ogniska  
cienką niteczką dymu  
przeplata zieleni.  
Wieczorem pękają

jak bańki mydlane  
nawoływania rówieśników.  
Po krótkiej ulewie  
dotyk mokrego piachu  
wędruje w ciele,  
łachocze pod pachami,  
krzyczy dziecięcą radością.  
2004 r.

### **Mama**

Centrum domu  
- fotel karmi się  
oddechem ognia,  
który szeleści  
w kominku.  
Jesteś moim sacrum!  
Krucho jak szyszka  
chmielowa na  
zimowym wietrze,  
liście nasturcji  
przed dotknięciem.  
Kolejną minutę  
wspólnych dni  
krążę wokół ciebie.  
Składam ofiarę,  
palę kadzidła,  
rozwieszam girlandy  
drobnych czułości.  
2004 r.

---

**Grzegorz Kociuba** (ur.1963), opublikował trzy książki poetyckie i prozę pt. *Ktoś*. W druku tom wierszy *Widoki i widzenia*. Członek SPP, redaktor „Nowej Okolicy Poetów”, nauczyciel w Liceum Ogólnokształcącym w Tarnobrzegu.

### **Wielki błękit**

we śnie zrywam oliwki  
z drzewka przed Erechtjonem  
a lzy wiedzą wszystko najlepiej  
    klasztory na Meteorach to guzy  
    na czaszkach i twarzach gigantów  
    a w grotach tłą się jeszcze języki ognia  
tawerna w Pantalemonas  
wyrasta pod kopułą platanu  
a żyłami konarów płynie młode wino  
    w wąwozie Enipéas  
Pytia siedzi nad raną ziemi  
a ścieżkami powietrza wędrują jej wizje

\*\*\*

słońce otwiera dzień  
mężczyźni odkręcają kurki  
i gumowe węże wypluwają strugi wody  
która zmywa z ulicy  
plątaninę wczorajszych kroków  
dziś stopy znów będą pisać  
a kamienie połkną ich rytm i mowę  
słowa splukuje poranna bryza  
ale ślady wsiąkają w kamień  
zapuszczają korzenie w spieczonej ziemi

wyciskają swą pieczęć  
na ruchliwym pergaminie morza  
a jeszcze ciała  
uwięzione w bursztynie wody  
które może kiedyś odnajdzie czyjeś oko  
i przystanie zdumione  
na straganach brzoskwinie arbuzy melony  
w których słońce scedza i zagęszcza soki ziemi  
sprzedawcy przy kasach  
przeliczają codzienny bilon chwil  
jęzor kasy wysuwa się  
i połyka kolejnego obola  
kiedy szedłem wieczorem uliczką  
ktoś krok w krok podążał za mną  
odwróciłem się i zobaczyłem –  
łachman swego cienia  
rzucony na przydrożny krzak

\*\*\*

po stopniach na Akropol  
a na szczycie każdy kamień  
przygniata mnie swą długowiecznością  
z której potrafię odczytać  
ledwie parę znaków  
stąpam po modlitwach kapłanów  
po ryku zwierząt ofiarnych  
po bezimiennych okrzykach kamieniarzy  
wykuwających w marmurze  
wielki błękit  
co krok potykam się o mit  
Egeusza przykrywa czarny żagiel morza  
Pallada walczy z Posejdonem o względy Ateńczyków  
(drzewko oliwne kontra źródło słonej wody)  
Apollo oczyszcza się po zabiciu Pytona  
z pobliskiej skały apostoł neofita  
głosi kazanie o Ukrzyżowanym  
niezła frajda dla pyrronistów i epikurejczyków  
morze pracuje niestrudzenie  
wyrzuca na brzegi i wyspy bogów wiary mity  
a potem je zabiera w swe życiodajne wnętrze  
czyżby to w nim dokonywała się przemiana  
kiełkowanie i usychanie  
zjawianie się i znikanie  
widzialne i niewidoczne  
włoczyłem się po Pláke  
na wystawach – bizancjum przedmiotów  
w gardłach turystów – chłód spienionej frappé  
warstwy mozaiki kręgi  
w których pracuje nieobjęta moc

\*\*\*

kiedy się budzisz  
czeka już na ciebie  
wielki błękit  
każe się wspinać  
ku słońcu  
więc przez Lárise i Tríkałę  
do Kalambáki  
z której już widać gniazda klasztorów  
uwite na czaszkach skał  
głazy oddychające ciężko

na dłoniach powietrza  
giganci o mięśniach zamienionych w granit  
szatani zastygli w sieciach boskiego przekleństwa  
w skalnych dziuplach cienie eremitów  
nakłuwają skupieniem błonę tajemnicy  
jakby wszystko przystanęło w bezruchu  
taka stop-klatka w neverendingstory  
i ten kuszący śpiew głębi  
skocz  
poznaj euforię lotu  
i ból zderzenia  
zanim ciało zrośnie się z ziemią  
krew rozplynie w strumieniu  
ogniki myśli wessie ciemność  
a serce zacznie podróż  
na dno wulkanu  
ta chwila jest głazem  
który wisi w powietrzu  
ten pejzaż jest kroplą  
co drży na powiece  
patrz i pij  
zanim oczy i usta  
zasypie piach

\*\*\*

jary wąwozy szczeliny urwiska  
przez które ziemia wydała  
fetor swych wnętrzności  
ale też uwalnia głosy zmarłych  
które pragną nas ostrzec napomnieć pouczyć przerazić  
mgła owija się wokół sosen  
jak jelita ofiarnych zwierząt  
z których szaman  
odczytuje los plemienia  
te tajemne przejścia  
w ziemi skale kobiecie naciętej skórze  
przed którymi stajemy w trwodze i nadziei  
bo ciemność nie jest biesiadnym stołem  
który rozłożono wśród kwitnących drzew  
ale to właśnie w niej przerzucono kładkę  
po której stąpa nasze marzenie  
próbując zbadać jej rozmiar i cel  
Pytia Sybilla Quetzalcoatl Guślarz  
kto nimi włada kto mieszka w ich głosie  
kto na ich ustach i języku karbuje znaczenia  
które w ciałach i sercach rozniecają ogień  
kto nie stał nad szczelinami  
kto choć krok nie postąpił w ich wilgotny czar  
czy pojmie ból ziarna które pęka  
by wyrosnąć czymś innym a jednak tym samym  
albo czy zdoła zebrać w czulej ciepłej dłoni  
cierpienie i dumę a także szczęście i świętość matki  
która wypycha z siebie niemowlę  
by mogło wyruszyć w świat  
choć było z nią zrosnięte  
śpiąc w ciepłym gnieździe brzucha  
kto nie stał nad szczelinami  
kto nigdy nie próbował ich mgielnych wywarów  
czy zdoła jeszcze w sobie ożywić umarłych  
mowę zwierząt pochwyli na granicy puszczy  
włókna żywiołów zwiąże w przenajświętszy wzór

jary wąwozy szczeliny urwiska  
może to przez nie prowadzi ścieżka  
w wielki błękit

\*\*\*

Skotina Paralia 23.07.2004 – Tarnobrzeg 30.07.2004

---

**Michał Buczkowski** (ur.1986), uczeń Liceum Ogólnokształcącego w Tarnobrzegu. Debiutuje na łamach „Afisza”

**Gnoza**

Tłumy zamkniętych drzwi  
Tłumy otwartych kluczy  
Próg jest zbyt wysoki

**Groza gnozy**

*Grzegorzowi Kociubie, bez którego Nic by nie powstało*  
Pijany żeglarzu  
– może rozumiesz  
uczepiłem się  
butelki trzeźwej  
    brała niebieski  
    groźzagiel – gwiazdę

**Gnoza Kontynuacja**

Próg się obniża  
Nie to ja pełen uznania  
Rosnę  
    Przepraszam (takie jak w tramwaju)  
Ktoś za uszy nerek wionie mnie

---

**Elżbieta Grządowska** (ur.1970), absolwentka Katedry Historii Dogmatów Wydziału Teologicznego KUL. Nauczycielka religii w Liceum Ogólnokształcącym w Tarnobrzegu. Wiersze publikowała m.in. w „Nowej Okolicy Poetów”, „Afiszu”. Mieszka w Sandomierzu.

**Portret Adama**

dziś  
    siedzisz na krześle  
    wygodnie rozparty  
    z audytorium  
    gumowych uszu  
    nadęty dumą  
    jak kompleksami  
    bycia facetem  
    z aspiracjami  
    zostania mężczyzną  
    człowiekiem  
malutki wymiar  
ogródka ograniczonego  
pracą jak płótem  
dobry w swym fachu  
z perspektywą  
szybkiego awansu  
robotą  
    z przyjemnością  
    bez przyjemności

---

odizolowany od uczuć  
by nie być słabszym  
myślisz że  
panujesz nad światem  
nazywając rzeczy po imieniu  
będąc na piedestale w centrum  
ta obok jest twoja  
jak wszystko  
twoje żebro  
ty z ziemi wzięty  
ulepiony z gliny  
kolos bez charakteru  
zostajesz w tyle  
w poczuciu winy  
wobec winy  
usprawiedliwiając nieustannie  
okoliczności i fakty  
spozregłeś  
nagość podwójną  
swoją i jej  
pod liściem prawdy  
nie ukryjesz tego  
kim jesteś  
ani tego  
kim mógłbyś być

\*\*\*

Przychodzisz do pracy  
z teczką pomysłów  
nie swoich  
odtworzasz myśli  
z książek zapisanych  
mądrością  
dokonujesz zabiegu  
operacji na mózgu  
słowami  
konspiracyjnie zaszyfrowanymi  
własną teorią  
w przerwach  
zjadasz kanapki  
niechlujnie przeżuwiąjąc  
to czego nie możesz  
pogryźć  
potem  
zmieniasz miejsce pobytu  
jak najemnik próżności  
chcesz być  
lepszy od innych  
nie możesz być gorszy  
biegasz  
z miejsca na miejsce  
gubiąc po drodze  
to co ważne  
zaślepiiony  
tworzeniem tworzenia  
zapominasz odebrać  
dziecko ze szkoły  
ta w domu  
poczeka  
nie płacząc z zachwyty  
w końcu mycie naczyń

nie może być ważniejsze  
od budowania autoportretu  
z przekory  
nie będzie cię słuchać  
w łóżku położy się tyłem  
budując mur z samotności  
    ty przytulisz jej plecy  
    wierząc że  
    to i tak dużo  
twoje doniosłe  
znaczące zadanie  
przemiany świata  
czynienia poddanym  
nazywania  
wynałazków stworzonych  
jak własnych  
podpisanych parafką  
    tej obok  
    rodzącej codzienność  
    z dniami płodnymi  
    gotowaniem i praniem  
    wyzaczyłeś tchórzliwie  
    życie z poczuciem  
    większej winy  
    na zawsze

\*\*\*

Od czasu do czasu  
próbujesz być dobry  
dziecko bierzesz na spacer  
kupujesz markowe wino  
do podanej pod nos kolacji  
tworzysz  
ze słów nie zapisanych  
klimat intymny  
dajesz kawalek czegoś  
bez pozy i maski  
    trochę pobędziesz  
    bliski za blisko  
    szczęściarz  
    podwójnie obdarowany  
potem znów  
przyjdzie schizma uczuć  
wpisana w upadek  
maraton wad  
egoistycznych cukierków  
    tęsknota za sobą  
    utraconym rajem  
znowu zapomnisz  
o tym co ważne  
irytuje cię nazwa  
rozpamiętujesz obrazę  
dumnej pogardy  
dałeś się zwieść  
czy  
byłeś zbyt słaby  
jak to się stało  
nie możesz  
ciągle uwierzyć  
wina jest  
twoja jak jej

przez nią  
wygodniej jednak  
siebie zobaczyć  
mieliście być jedno  
a ty chcesz ciągle  
być jeden  
grzechem twoim  
jest to co zrobiła ona  
podpisany twoim  
imieniem jak nazwiskiem  
po badaniach  
o ustalenie ojcostwa  
przez zrodzenie

Sandomierz 2004 r.

### **Portret Ewy**

aktualnie  
niedospana  
z włosami w nieładzie  
w spranym szlafroku  
wstajesz  
przemywasz oczy i twarz  
w kuchni  
machinalnie wykonujesz  
rutynowe czynności  
trzeba zrobić śniadanie  
dzieci wyprawić do szkoły  
sobą się zająć  
wyglądać jak człowiek  
kawa pita w pośpiechu  
tost przypalony  
szybki makijaż  
włosy ułożone na lakier  
przypominasz siebie  
kobietę  
biegniesz  
z domu do pracy  
w służbowej garsonce  
z teczką pełną papierów  
przystanek  
autobus zatłoczony  
oczko w rajstopach  
każdy dzień  
brzemienny w to samo  
a miało być jak w raju  
studia z dyplomem  
ambicje poparte awansem  
zaradny małżonek  
potem  
domek z ogródkiem  
dwa samochody  
dzieci też dwoje  
dziewczynka i chłopczyk  
ty pachnąca i wiotka  
on przystojny jak amant  
wszystko zgodnie i dobrze  
na określonym poziomie  
z pozycją społeczną  
w świecie tak misternie  
stworzonym

pod wasze stopy  
kiedy coś pękło  
ty  
nie umiesz powiedzieć  
on ci powiedział  
że jesteś jego porażką  
kamieniem u szyi  
ciągnącym go na dno  
twoja kariera  
lepsze zarobki  
do tego prestiż  
sięgnęłaś po owoc  
tabu zakazane  
zwiedziona życiem  
ważniejszym  
niż to co ważne  
on zepchnięty  
z dumą schowaną  
w kieszeń  
bohater komiksu  
który nie umie  
być mniejszy  
niż jest  
znów biegiesz  
po pracy do domu  
zrzucić służbowy żakiet  
mądrych decyzji  
wyważonych ocen  
proporcjonalnych zysków  
bez strat  
przeistaczasz  
swą dominację  
w służebny los  
to nie jest  
błogosławiony stan  
tam sukces  
tu porażka  
złagodzić jego ból  
wyleczyć swój  
gotujesz obiad  
z dwóch dań  
po drodze  
pranie i prasowanie  
jego koszule i spodnie  
kompromis  
by nie czuł się  
zaniedbany  
starasz się  
być żoną i matką  
żyjących wygodnie  
nie walczysz już o to  
by ktoś ciebie wyręczył  
umył naczynia  
wytarł podłogę  
śmieci wyrzucił  
godzisz się z tą  
potrójną rolą  
sama pragnąc  
komfortu zamkniętego  
we wspólnej sypialni  
utonąć

w bezpiecznych ramionach  
gdzie jedno spotyka drugie  
ta prosta zależność  
wzajemność potrzeb  
bycia jednym w jednym  
marzysz  
by świat się odwrócił  
nie chcesz być  
tą którą jesteś  
nie możesz  
sama sobie wystarczyć  
on panuje nad tobą  
odwiecznym zrzędzeniem  
podzielonych egoizmem  
obowiązków małżeńskich  
dzieciom dasz wszystko  
wyprujesz żyty po kawałku  
spełniając zachcianki  
bez stresu wychowasz  
bo tak wygodniej  
nie musząc grać  
znieawidzonej roli  
arbitra dobra i zła  
to nic że Kain i Abel  
w końcu  
to tylko przypadek  
zły jak los  
zepsuty w relacjach  
ja ty  
ja my  
ja oni  
pozostajesz w miejscu  
zwanym domem  
prac naprzód  
co jest życiem naprawdę  
a co wegetacją  
pełnie do ciebie  
ciągle pokusa ta sama  
nie będziesz posłuszna  
zdobyłaś wiedzę  
przewidywalną  
wiesz co się stanie  
zastonisz nagość  
swoją i jego  
przepaską z kłamstw  
potem przyjdzie  
wygnanie z siebie  
stworzonej inaczej  
do czegoś innego

Poniedziałek Wielkanocny, 2004 r.

---

I EDYCJA KONKURSU PLASTYCZNEGO  
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY  
„ŚWIAT MOICH DOZNAŃ”

**11 marca 2005 roku o godz. 16.00 w Tarnobrzесkim Domu Kultury w małym hallu nastąpiło otwarcie wystawy oraz wręczenie nagród i wyróżnień uczestnikom I EDYCJI KONKURSU PLASTYCZNEGO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY „ŚWIAT MOICH DOZNAŃ”.**

Konkurs adresowany był do dzieci i młodzieży w wieku 8-20 lat i oceniony w 2 kategoriach wiekowych: 8-16, 16-20 lat.

Prace konkursowe należało wykonać w technice monotypii – technice która pozwala w ciekawy sposób zapisać spontaniczne pociągnięcia różnymi narzędziami plastycznymi, przekazuje ich ekspresję i umożliwia niepowtarzalne eksperymenty, zmusza do koncentracji w obrębie małej kartki papieru, skupia uwagę na szlachetnym, unikatowym zapisie wyrażonym kreską i plamą ulotną – tym samym bardzo indywidualną. Te wartości przyświecały idei naszego konkursu i znalazły odzwierciedlenie w nadesłanych pracach.

W konkursie brały udział dzieci i młodzież z powiatów: mieleckiego, sandomierskiego, stalowowolskiego i tarnobrzесkiego. Nadesłano 276 prac. Komisja w składzie: art. plastyk **Ryszard Gancarz** oraz **Jolanta Chwałek** i **Halina Czajkowska** – pedagodzy z Rodzinnego Ośrodka Diagnostycznego przy Sądzie w Tarnobrzegu – przyznała następujące nagrody i wyróżnienia: w I kategorii wiekowej – I nagroda – **Oliwia Kawa**, II nagroda – **Tomasz Frańczak**, III nagroda – **Katarzyna Wróbel**, IV nagroda – **Małgorzata Kotulska**, wyróżnienie specjalne – **Natalia Paczkowska**, wyróżnienia – **Joanna Bidas**, **Joanna Sapielak**, **Angelika Skóra**, **Oliwia Krempa**, **Klaudia Gamoń**, **Beata Maj**, **Monika Lipiec**, **Rafał Śnieżek**, **Sara Drozd**, **Marta Grabska**, **Martyna Polit**; w II kategorii wiekowej – I nagroda – **Dominik Mroziński**, II nagroda – **Barbara Maj**, III nagroda – **Jędrzej Żwiruk**, wyróżnienia – **Ewelina Zięba**, **Justyna Ziolo**.

W dniach od 11 marca do 7 kwietnia w małym hallu TDK można było oglądać nagrodzone i wybrane prace.

Komisarz Konkursu  
artysta plastyk **Bożena Wójtowicz-Ślęzak**

## „STARY SANDOMIERZ” cz. II Malarskie „portrety” miasta z XIX i XX w.

**Muzeum Okręgowe w Sandomierzu zorganizowało w Ratuszu wystawę pt. *Malarskie „portrety” miasta z XIX i XX wieku*, w aranżacji Bogumiły Gancarz. Ekspozycję przygotowano dzięki finansowemu wsparciu Ministerstwa Kultury.**

Kolejna prezentacja z cyklu „Stary Sandomierz” oparta jest na zestawieniu kilkadziesiątu dzieł malarskich powstałych w czasie wędrówek artystycznych, plenerów indywidualnych bądź grupowych, na przestrzeni dwóch minionych stuleci. Motywy sandomierskie zwracały w tym czasie uwagę wielu twórców. Sandomierz zatrzymany w kadrach prezentowanych obrazów, to efekt spojrzenia nań 18 artystów należących do różnych pokoleń i różnych środowisk twórczych. Wśród zastosowanych technik malarskich dominuje akwarela, niekiedy łączona z rysunkiem (tuszem, ołówkiem) lub z gwaszem; zaledwie w kilku eksponowanych pracach, artyści posłużyli się gwaszem i temperą.

Wystawę otwiera „Panorama Sandomierza” Michała Stachowicza z 1811 r. (z okresu wojen napoleońskich) - jeden z najstarszych, XIX-wiecznych wizerunków miasta. Zamieszczone obok - „Panorama Sandomierza od strony Wisły” nieznanego autora i „Spichlerz pod Sandomierzem” Władysława Stachowicza, to obrazy należące już do II połowy tego wieku. Sandomierz w okresie międzywojennym charakteryzują znakomite i powszechnie znane dzieła Leona Wyczółkowskiego, oraz mniej znanych autorów: Bolesława Baake, Stanisławy Nikodymowej i Antoniego Henryka Muszkiewicza. Patrząc na serię prac Haliny Łepkowskiej-Giecewicz, ukazujących Sandomierz tuż po wyzwoleniu (akwarele z lat 1944-45), nie możemy mieć wątpliwości dlaczego w pierwszych powojennych latach stał się on celem wędrówek artystów z całej Polski. Malowali tu profesorowie warszawskiej ASP prowadzący plenery studenckie - Witold Miller przyjeżdżający od 1947 r. i Stanisław Czajkowski, już w latach 20. zaprzyjaźniony z miastem i oczarowany jego urodą. Z lat 50. pochodzą sandomierskie pejzaże Marii Sochy, i widoki architektoniczne autorstwa Ireny Nowakowskiej-Acedańskiej, Tomasza Kornackiego, Zygmunta Leskiego. Jak postrzegany był Sandomierz przez artystów w latach 60. i 70., możemy zobaczyć w obrazach Jerzego Potrzebowskiego, Wandy Chełmońskiej, Wincentego Bednarskiego i tych, którzy jak Miller czy Acedańska, jeszcze tu powracali. Ostatnie z prezentowanych dzieł – „Wejście do kościoła św. Pawła” Henryka Papierniaka z 1995 r., to przykład twórczości plenerowej, odrodzonej po stagnacji w latach 80.

Wystawa ukazuje różne oblicza dawnego Sandomierza. Jedni artyści patrzyli na miasto przez pryzmat jego historycznej przeszłości i monumentalnych zabytków z nią związanych, inni w sandomierskim pejzażu

poszukiwali motywów bardzo zwyczajnych, małomiasteczkowych klimatów, dla jeszcze innych głównym lub pierwszoplanowym motywem stała się przyroda i pełne uroku, urozmaicone krajobrazy.

Od ostatniej ekspozycji niektórych obrazów upłynęło niemal ćwierćwiecze. Warto je sobie przypomnieć, a może poznać?

Bożena Ewa Wódcz  
Komisarz Wystawy

---

## WIKLINA ARTYSTYCZNA W RZESZOWIE

**31 marca br. w Galerii Małej Biura Wystaw Artystycznych w Domu Sztuki w Rzeszowie odbył się wernisaż wystawy WIKLINA ARTYSTYCZNA STANISŁAWA DZIUBAKA. Ekspozycja była czynna do 17 kwietnia.**

„W Galerii Małej wystawa niecodzienna, bo prezentująca twórczość, która ciągle walczy o swoją pozycję w sztuce. Mowa o pracach z wikliny i inspirowanych wikliną.

Artysta zaczynał swoją pracę w oparciu o rzemieślnicze i warsztatowe podejście do wikliny jako surowca. Współczesna tkanina artystyczna, rzeźba i nowe działania przestrzenne coraz częściej sięgają po ten surowiec, doceniając jego walory plastyczne. Tak też stało się w artystycznej drodze autora wystawy Stanisława Dziubaka z Tarnobrzega”. (...) *Piotr Rędziniak, Komisarz Wystawy*

„Aby dotrzeć do sensu sztuki Stanisława Dziubaka, należy przedrzeć się przez zachwyty nad pachnącą urodą wiklinowej materii, nad rytmem wyszukanych splotów i misterną precyzją plecionki. Należy poskromić zdziwienie, że z materii pozornie tak znanej i pospolitej można tworzyć rzeźby... A potem wejść w świat abstrakcyjnych form, nowoczesnych kształtów i – jak przy kontemplacji każdej dobrej sztuki – wgłębić się w świat własnych skojarzeń, doznań i odczuć nimi wywołanych. (...)

Prace Stanisława Dziubaka doskonale wpisują się w przestrzeń fizyczną i psychiczną człowieka. Dzięki organiczności materii – ale i dzięki szacunkowi artysty do niej i do tej przedziwnej atmosfery przyjazności, którą emanują, i którą umiejętnie na użytek swojej sztuki wykorzystuje. Nagina i spleta wiklinowe pręty w granicach ich organicznych możliwości; nie łamiąc ich, ani nie budując z nich ostrych, dramatycznych form. Często obdarza tytułami, sugerując kierunek interpretacji i skojarzeń. Większość jego kameralnych prac formą dostosowuje się do zamkniętej ścianami przestrzeni galerii i wnętrza: to skupione, zamknięte, na planie owalu lub koła konstruowane kształty, perfekcyjnie wykonane, działające nie tylko rzeźbiarską formą, ale i naturalną barwą różnych odmian wikliny i jej łagodnym, charakterystycznym zapachem. Zestawia je ze sobą w większe całości – których integralnym elementem zawsze jest otaczająca je przestrzeń. Przestrzeń jest także jednym z najistotniejszych elementów jego przestrzennych aranżacji plenerowych. Te, ze względu na jej nieograniczony charakter, cechuje rozmach i otwartość. Artysta ingeruje w otoczenie zawsze uwzględniając jego naturalne uwarunkowania, zastane relikty, przyrodę. Wraz z nieomal architektonicznie przemyślaną koncepcją, rytmem regularnych splotów i syntetycznych form, „oswaja” przestrzeń, w jej przypadkowy chaos wprowadzając element ładu i porządku, nie niszcząc przy tym jego naturalności.

Nie sposób, omawiając twórczość tego artysty, nie wspomnieć o jego wiklinowo-papierowych kolażach, w których wiklinowe patyczki wytyczają pionowy i poziomy kompozycji, tworzą rysunek, i współtworzą, wraz z ręcznie robioną papierową masą wyszukaną materię płaskich kompozycji.

Sztuka Stanisława Dziubaka niewątpliwie ukształtowała się w zmaganiu się z ograniczonością wybranej materii, zawartą pomiędzy łamliwością a prawie jednakowym kształtem gładkich prętów. Opór materii jednak wyzwolił tylko energię i niezwykłą inwencję twórczą, zaskakującą i budzącą podziw w każdej jego kompozycji. Określającą także wyrazistą i mocną osobowość twórczą tego oryginalnego artysty – oraz odślaniane przez niego coraz to nowe możliwości jego ukochanego tworzywa.” *Stanisława Zacharko, Kielce*

\*\*\*

*Z okazji jubileuszu 30-lecia pracy twórczej Stanisława Dziubaka, Dyrekcja, Koledzy i Koleżanki z Tarnobrzесkiego Domu Kultury gratulują dotychczasowych osiągnięć artystycznych oraz życzą wszelkiej pomyślności w życiu rodzinnym i zawodowym.*

---

## DWA W JEDNYM...

**21 lutego 2005 roku w Galerii „Afisz” Tarnobrzесkiego Domu Kultury uroczyste została otwarta nowa wystawa Stanisława Dziubaka „Wiklina XXI wieku”. Czynna była do 29 marca br.**

---

Na wernisażu byli obecni: Tadeusz Zych – przewodniczący Rady Miasta, Wiktor Stasiak – zastępca prezydenta Tarnobrzega, Mariusz Ryś – zastępca dyrektora TDK, oraz grono przyjaciół, koleżanek i kolegów, od których artysta otrzymał bukiet kwiatów i piękny album.

Prace autora wystawy to wiklinowe rzeźby, collage z własnoręcznie czerpanego papieru, roślin i wikliny, oraz fotogramy utrwalające urokliwość wiklinowych kompozycji w plenerze (m.in. z Łodzi, Rudnika n. Sanem, arboretum w Bolestraszczykach, Łucznicy).

O wiklinowej twórczości Stanisława wiele mówiono i m.in. pisano:

– „Zamknięte bryły jego wiklinowych rzeźb wykorzystują maksymalnie „klasycznie” pojęte możliwości tej oryginalnej techniki: doskonałość i różnorodność splotów i struktur, wyrafinowanie form oraz barwę i materię różnych odmian wiklinowego tworzywa... Oprócz form zamkniętych tworzy również plenerowo-ogrodowe, połączone z żywymi roślinami. To formy, w których część czynnika twórczego artysta oddał przyrodzie, w których wykorzystał urodę rosnących, napęczniałych sokami, pokrytych korą i liśćmi wiklinowych gałązek.” - Stanisława Zacharko, „Afisz”, 2002 r.;

– „Wiklina powinna być wdzięczna artyście za to, że wprowadził ją na artystyczne salony. (...) Ale w tych godnych, sztywnych salonach wiklinowe dzieło nie traci szlachetnej prostoty, że w tej wiklinowej twórczości nie ma ani odrobiny monumentalizmu, ani patosu. Jest za to cisza, harmonia i coś z pogody raj. Jest w niej tyle ciepła i spokoju, iż wydaje się, że wiklina najlepiej zna potrzeby ludzkiej duszy.” (...) - Jan Adam Borzęcki, „Afisz”, 2002 r.

Wystawa Stanisława Dziubaka obrazowała 30-letni dorobek artystyczny i jednocześnie była uświetnieniem Jego pięćdziesiątych urodzin. To niedługie przecież życie obfituje w bogatą i różnorodną twórczość, a także wyróżnia się witalnością zawodową. Trafnie dał temu wyraz Wacław Pintał w swoim artykule „Artysta bliski ziemi” (Tygodnik Nadwiślański Nr 9/2005 r.) oceniając, że „Stanisław Dziubak niepostrzeżenie stał się w Tarnobrzegu człowiekiem - instytucją. Uczynił w kilka lat z tego miasta czołowy w Polsce ośrodek wikliniarstwa artystycznego. To tutaj ma swoją siedzibę, powstałe przed pięcioma laty, Ogólnopolskie Stowarzyszenie Twórcze „Wiklina”. Stanisław jest jego prezesem”.

Należy dodać, że pomysł utworzenia stowarzyszenia dojrzał na plenerach wikliniarskich organizowanych przez Tarnobrzesci Dom Kultury, a prowadzonych przez Stanisława Dziubaka. To one „stawały się magnesem dla artystów poszukujących nowych środków wypowiedzi. Ten odwieczny materiał został „odkryty” na nowo.” (Katalog „O wiklinie”, Tarnobrzeg 2004 r.). Ponadto Stanisław jest komisarzem, a przede wszystkim Duszą corocznych tarnobrzescich plenerów artystycznych również organizowanych przez Tarnobrzesci Dom Kultury. Już od ponad siedmiu lat spotyka się w naszym mieście grupa zapraszanych artystów plastyków z Polski i zagranicy. Powstałe prace, tematycznie związane z Tarnobrzegiem, stają się jego swobodną wizytówką i promocją. Daje się zauważyć coraz większe zainteresowanie środowiska owymi poplenerowymi pracami.

Autor wystawy charakteryzuje się dużą aktywnością w swojej twórczości i profesji. Jako absolwent należącego do PLSP (dyplom z plecionkarstwa), w 1975 roku podjął pracę w Wikliniarskiej Spółdzielni Rękodzieła Ludowego i Artystycznego w Rudniku n. Sanem, gdzie był projektantem wyrobów z wikliny znajdujących



Autor wystawy urodził się w 1945 roku w Rzeszowie, od 1963 roku mieszka w Krakowie. Członek Klubu Twórców „Pasja” w Szczecinie. Współdziała z grupą Stowarzyszenia Marynistów Polskich.

Od 45 lat zafascynowany pięknem Bieszczadów, stąd najczęściej tematykę jego prac stanowią bieszczadzkie krajobrazy. Większość obrazów to niewielkie formaty, prawie miniatury, na których oddaje ulotny moment urokliwej krainy:

*„W moim bieszczadzkim ogrodzie  
Kruszyna i dziki bez  
Zieleń odbija się w wodzie  
Pełnej zielonych łez” (...)*

Tadeusz Sułkowski uczestniczył w kilkunastu wystawach zbiorowych i indywidualnych (Kraków, Szczecin, Unieście, Poznań, Kietrz, Rzeszów, Stargard Szczeciński).

---

## TAŃCZY JUŻ 20 LAT...

**FRAM obchodzi w 2005 roku jubileusz 20-lecia pracy artystycznej.** To najważniejsze tegoroczne wydarzenie w działalności Tarnobrzесkiego Domu Kultury. FRAM jest jedynym zespołem TDK o tak długim czasie nieprzerwanej pracy, najbardziej utytułowanym i uhonorowanym nagrodami na ogólnopolskich festiwalach. FRAM to już marka; grupa rozpoznawalna, która wypracowała swój charakter i styl w prezentacjach scenicznych. Jubileusz FRAMU to również powrót do historii i wspomnień, wędrówka w czasie...

Historia zespołu zaczęła się we wrześniu 1983 r., gdy **Jadzia Chmielowiec** z grupy „Małych Siarkopolan” utworzyła pierwszy skład zespołu. Przygotowała dwie etudy taneczne: „Krakowiaczek” i „Kredką na płocie”, które przyniosły zespołowi pierwszy sukces. W Eliminacjach Wojewódzkich Przeglądu Dziecięcych Zespołów Tanecznych w Nowej Dębie został wytypowany do udziału w V Ogólnopolskich Konfrontacjach Dziecięcych Zespołów Tanecznych Konin`84. **Rok później Jadzia zrealizowała inscenizację taneczną „Cyrk Fram”, wyróżnioną na festiwalu Konin`85.**

Po tym pierwszym sukcesie 40-osobowa grupa postanowiła się usamodzielnic. Jadzia ogłosiła wśród podopiecznych konkurs na nazwę zespołu. Pośród wielu propozycji najczęściej powtarzał się FRAM. Było to imię sympatycznego misia cyrkowego z serialu emitowanego w „Teleranku”. *Imię Fram tłumaczone z języka norweskiego oznacza „naprzód”.* **Od początku korepetytorem muzycznym zespołu była Anna Pintał, a opiekę artystyczną sprawował Dariusz Chmielowiec.**

**Kolejny 1986 rok przyniósł FRAMOWI wielki sukces.** Na festiwalu konińskim zaprezentowała dwie kolejne inscenizacje taneczne autorstwa Jadzi: „Krasnale” i „Zdradliwa Wyspa Skarbów” uhonorowane **Srebrnym Aplauzem i prestiżową Nagrodą Jury Dziecięcego. Konsekwencją zdobycia tych nagród było zaproszenie FRAMU 1 czerwca 1986 r. do udziału w telewizyjnym programie „Studio 1” w Warszawie.** Już wtedy skład zespołu tworzyły dwie grupy dziecięce: młodsza (klasy I–III) i starsza (V–VIII). **Rok później inscenizację „Domowe porządki” nagrodzono w Koninie Srebrnym Aplauzem.**

7 lipca zespół wyjechał na Międzynarodowy Obóz Pionierów „Aleksander Mastrow” nad malowniczym jeziorem Storzsee w Niemczech Wschodnich. Spędził tam dwa tygodnie dając cztery koncerty m.in. w berlińskim Pałacu Pionierów i Spewerder. Zaprezentowano tam dotychczasowy repertuar wzbogacony o nowe prace choreograficzne Jadzi: „Chapliniada”, „Pantery” i „Taniec Disco”. **Już w sierpniu FRAM wystąpił w IV Ogólnopolskich Spotkaniach Laureatów Przeglądów, Konkursów i Festiwalu Artystycznych Młodzieży Szkolnej „Gryfiada`87” w Szczecinie.** W ciągu dziesięciu dni koncertował w trzech nadmorskich miejscowościach prezentując „Domowe porządki”, „Zdradliwą Wyspę Skarbów”, „Krasnali” i „Chapliniadę”. Tam młodych tancerzy spotkały dwie przygody: w czasie jednego z koncertów z powodu awarii prądu FRAM tańczył bez playbacku, po następnym, w późnych godzinach wieczornych, dzieci poszukiwały zagubionych, bardzo ważnych rekwizytów z „Domowych porządków”, czyli rur od odkurzaczy pozostawionych w lesie. **Uhonorowaniem wakacyjnej przygody FRAMU był dyplom uznania, który Jadzia Chmielowiec otrzymała w czasie „Gryfiady`87”, „za trud i wysiłek włożony w osiągnięcie wysokiego poziomu artystycznego, za pracę wychowawczą, która daje wymierne efekty w edukacji estetycznej młodego pokolenia”.** Dyplom podpisali ówczesny Minister Kultury i Sztuki prof. Aleksander Krawczuk oraz Minister Oświaty i Wychowania Joanna Michałowska–Gumowska.

W 1988 roku Jadzia Chmielowiec przygotowuje dwie inscenizacje taneczne: „Jeże” i „Tajemniczą przesyłkę”. Za tę drugą **FRAM przywiózł z Konina w czerwcu Srebrny Aplauz.** Jeszcze w tym samym miesiącu zespół wyjechał na dwutygodniowe warsztaty szkoleniowe do Bojanowa. Już 15 lipca FRAM był w Bydgoszczy, gdzie wziął udział w XI Bydgoskich Impresjach Muzycznych. Koncertował w Filharmonii Bydgoskiej, Sewicku, Kruszewicy i wrócił do Tarnobrzega z **Nagrodą Specjalną Dyrektora Pałacu Młodzieży „za działalność artystyczną”.** Pojechał jeszcze na Eliminacje Wojewódzkie Ogólnopolskiego Przeglądu „Barwy Przyjaźni” do Tomaszowa Lubelskiego. **Zdobył pierwszą nagrodę i nominację do udziału w festiwalu**

---

zielonogórkim. Pozostała w zbiorach nagroda, a festiwal już się nie odbył. W grudniu na jednej z prób gościł „Teleexpress”.

**W lutym 1989 r. FRAM wyjechał na Festiwal Tańca „Poznańskie Koziółki”, gdzie w kategorii zespołów tanecznych przyznano mu pierwszą nagrodę.** Zaraz po powrocie z Poznania, 7 lutego, „Kronika Krakowska” zrealizowała reportaż o zespole. **Z kieleckiego Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej FRAM przywiózł Srebrną Jodłę, nagrodę której już nie odebrała Jadzia Chmielowiec. Leżała ciężko chora w Klinice Kardiologii w Aninie. Zmarła 14 lipca 1989 r.**

Od nowego sezonu 1989/90 kierownictwo artystyczne przejął w całości **Darek Chmielowiec**, który przygotował dwie inscenizacje taneczne: „Pinokio” i „Orkiestra w drodze”. **Zaprezentowane w 1990 r. w konkursie XI Dziecięcego Festiwalu Piosenki i Tańca w Koninie przyniosły FRAMOWI długo oczekiwany Złoty Aplauz.** Ponadto **Ministerstwo Edukacji Narodowej za osiągnięcia artystyczne, wytypowało grupę do udziału w festiwalu w Turcji.** Zaprezentowano tam „Tajemniczą przesyłkę” i „Zdradliwą Wyspę Skarbów” biorąc udział w obchodach święta wyzwolenia Izmit i ceremonii otwarcia Targów Przemysłowych.

Rok 1991 przyniósł zespołowi zupełnie nowe doświadczenia warsztatowe świadczące o poszukiwaniach artystycznych. Darek Chmielowiec rozszerzył repertuar o miniatury taneczne. Podczas Konkursu Wojewódzkiego Dziecięce Figle Taneczne w Tarnobrzegu FRAM wystąpił już w dwóch kategoriach, prezentując inscenizację „Kredki i pędzle” i dwie miniatury taneczne: „Rondo” i „Gniazdo”. **Wyróżniono inscenizację, natomiast obie miniatury zaprezentowane zostały na XIII Festiwalu w Koninie, gdzie nagrodzono je Srebrnym Aplauzem.** Wówczas zespół został też zaproszony do udziału w VIII Ogólnopolskich Spotkaniach Laureatów Przeglądów, Konkursów i Festiwali Artystycznych Młodzieży Szkolnej „Gryfiada`91”. W koncercie galowym zaprezentował „Orkiestrę w drodze”, a w okolicznych miejscowościach „Zdradliwą Wyspę Skarbów”, „Tajemniczą przesyłkę”, „Krasnali” i „Domowe porządki”.

Lata 1991–1992 były niezwykle znaczące dla dalszej pracy FRAMU. Teraz zespół tworzyły dzieci od grup przedszkolnych aż po młodzież ponadgimnazjalną. Zmienił się też jego profil artystyczny. Darek realizował swoje zainteresowania w poszukiwaniu nowych form prezentacji ruchu i tańca, opartych głównie na emocjach, przeżyciach i bezpośrednim kontakcie z partnerami na scenie. **Dlatego zapewne trzy nowe miniatury FRAMU: „Dworzec”, „Spotkanie” i „Amadeusz” wróciły w 1992 r. z Konina bez nagrody, bo nie mieściły się już w kategorii festiwali dziecięcych, a przez jurorów określone zostały jako zbyt dojrzałe.** Przykładem była miniatura „Dworzec”, która w ciągu dalszej pracy i poszukiwań rozrosła się do autonomicznego spektaklu-widowiska.

Ten okres bardzo intensywnej pracy, jakże innej od dotychczasowych doświadczeń zespołu, pełnej warsztatowych eksperymentów i dociekań, dziewczyny z FRAMU wspominają jako czas, w którym „skończył się świat bajek, a zaczęły nastroje, przeżycia, wnętrza i klimaty”. Warto przypomnieć jeszcze, że w lutym 1992 r. Telewizja Edukacyjna zrealizowała reportaż o pracy FRAMU emitowany w Programie 1 TVP. Natomiast w listopadzie na Szczecińskich Spotkaniach Tanecznych zaprezentowali: „Dworzec” i „Amadeusza”.

**18 września 1994 r. odbyła się uroczysta premiera widowiska pt. „Z pamiętnika Framu”, którym zespół świętował swoje dziesięciolecie. Widowisko prezentowane było kilkakrotnie przy pełnej widowni i odniosło prawdziwy sukces.** Po tak intensywnej pracy zespół spędził wakacje 1995 r. w Wierchowiskach.

W marcu 1996 r. FRAM zaprezentował w Wojewódzkim Konkursie „Dziecięce Figle Taneczne” inscenizację „Ślizg”, za którą otrzymał nominację do udziału w XVII Festiwalu Piosenki i Tańca Konin`96 oraz nagrodę Dyrektora Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Tarnobrzegu. **Z konińskiego festiwalu przywiózł Srebrny Aplauz.** Wakacje tym razem spędził w Bystrem koło Baligrodu.

**W następnym roku na kieleckim Festiwalu Tanecznym „O Złotą Miotłę Baby Jagi” otrzymał drugą nagrodę Srebrną Miotłę, za inscenizacje „Orkiestra w drodze” i „Ślizg”.** Po powrocie Darek rozpoczął pracę z całym zespołem przy realizacji Koncertu Galowego 2 Konkursu Piosenki „Wygraj Sukces”. Współpraca FRAMU z tym festiwalem trwa nieprzerwanie do dzisiaj i kończy kolejny rok działalności zespołu.

W 1998 r. brał udział m.in. w częstochowskim „Tańcowadle`98” prezentując etiudy „Niepokój” i „Meta-morfoza”. **Z II Ogólnopolskiego Festiwalu Zespołów Tanecznych Rydzyna-Bojanowo wrócił z wyróżnieniem prezentując w konkursie dwie miniatury: „Spętani” i „Niepokój”.** Wziął również udział w VIII Festiwalu Tańca „Mikołajki`98” w Rzeszowie. Gościł na Pikniku Lotniczym „Góraszka`98”, gdzie towarzyszył także występom Majki Jeżowskiej, a jesienią część FRAMU brała udział w realizacji teledysku „Zimno” dla Programu 2 TVP w rzeszowskim Klubie „Akademia”.

Kolejny sezon pracy to udział w III Ogólnopolskim Festiwalu Zespołów Tanecznych Rydzyna-Bojanowo z etiudą „Paleta” oraz w IX Festiwalu Tańca „Mikołajki`99” w Rzeszowie, gdzie odniósł sukces, **zdobywając dwa pierwsze miejsca.** Nagrodzona została inscenizacja „Tamtamy” i miniatura „Spętani”. Wakacje spędził na Węgrzech, koncertując m.in. nad Balatonem.

30 maja 2000 r. premierą widowiska „Przemijanie” FRAM obchodził jubileusz 15-lecia działalności i po kilkunastu koncertach, wyjechał w czerwcu na **Ukrainę**, by wziąć udział w **Festiwalu „Czarnomorskie Igry”.**

Lata 2001–2004 to codzienne zajęcia, doskonalenie warsztatu, próby i udział w imprezach regionalnych i ogólnopolskich.

Obecnie FRAM tworzy 10 grup wiekowych; są to dzieci i młodzież w wieku od 5 do 19 lat, w sumie 200 osób. Zajęcia z dziećmi prowadzi **Agnieszka Wołosz** i **Kornelia Ciołek**, które z FRAMEM współpracują „od zawsze”. Nie tylko dzielą się teraz swoimi doświadczeniami i umiejętnościami z młodszymi, ale nadal są również obecne na scenie. Dziesiąty rok działa grupa wokalna, którą od dwóch lat prowadzi **Paweł Gospoś**, a współpracują z nimi **Marian Zych** i **Marcin Maziarz**. Swoje szczególne miejsce w historii FRAMU znalazła pani **Adela Wygoda**, która z zespołem związana jest od początku. Wszystkie kostiumy, które oglądaliśmy na scenie przez te lata wyszły „spod igły” pani Adeli. I wciąż pozostaje ich „Strażnikiem”.

W ciągu 20 lat z FRAMEM związanych było kilkaset osób; kilkoro z nich, w swoim dorosłym życiu nadal związanych jest z tańcem, prowadząc własne grupy lub tańcząc w zespołach profesjonalnych.

**FRAM tańczy już 20 lat i pozostaje nadal zespołem bardzo młodym, który nie poddał się rutynie i skostnieniu. Ciągłe zaskakuje i podejmuje nowe wyzwania. To z pewnością zasługa Darka Chmielowca, jego ustawicznych poszukiwań, zmagających z materią ludzkiego ciała i przestrzenią sceny.** Jest to budowanie procesu twórczego, w którym ważną rolę odgrywają młodzi ludzie i ich postrzeganie świata. To naturalna wymiana doświadczeń pokoleniowych. W swoich działaniach Darek wypełnia przestrzeń sceny przede wszystkim wyobraźnią i emocjami. One dyktują zamierzoną opowieść i budują zdarzenia, stanowią integralną część każdego spektaklu i świadczą o jego wyrazistości i czytelności. Darek za każdym razem podejmuje ryzyko, ale przecież ono jest wpisane w pracę na scenie, w pracę z drugim człowiekiem, bo tylko wtedy praca staje się twórczością.

Obchody 20-lecia działalności artystycznej Zespołu FRAM zostały zamknięte w cykl trzech widowisk: „**Krzyk**” (premiera 4.02.2005 r.), „**Nie porzucaj marzeń**” (premiera 31.03.2005 r.) oraz „**Calineczka**” – której premiera odbędzie się **1 czerwca br.**

Podczas wszystkich koncertów zbierane są przez wolontariuszy datki oraz dary rzeczowe na rzecz Hospicjum im. Św. Ojca Pio w Tarnobrzegu.

Andrzej Wilgosz

---

## PIĘKNO UŻYTECZNE. POLSKIE STROJE LUDOWE.

Gdy mowa o stroju ludowym stają nam zazwyczaj przed oczami nieokreślone występy zespołów folklorystycznych. Pytani o elementy stroju kojarzymy jedynie góralski kapelusz, mamy jakieś mgliste wyobrażenie o pasiakach łowickich, jako takim stroju krakowskim. A przecież polskie ubiory były bardzo zróżnicowane nie tylko regionalnie, ale też przedstawiały niezwykle bogactwo form i zdobnictwa w każdej swojej odmianie. Warto wybrać się do Muzeum Okręgowego w Sandomierzu i przyrzeć uważnie otwartej z początkiem lutego br. wystawie: „*Piękno użyteczne. Polskie stroje ludowe*”. W starannej i przemyślanej aranżacji czytelnie wyodrębniono pięć makroregionów Polski obrazujących zróżnicowanie stroju ludowego.

Już pod względem surowca można zauważyć wyraźne granice regionów. W Polsce południowo-wschodniej ubiory były bardzo skromne, wykonywane z naturalnych materiałów lnianych, tkanych własnoręcznie, zdobionych prostym, jednobarwnym haftem. Wrażenie robią perebory – hafty wykonywane na krosnach z okolic Włodawy. Możemy tu też zobaczyć rańtuchy, nakrycia głowy zarzucane w postaci długiego szala. Polska środkowa to popularne pasiaki, wełniane, tkane na osnowie lnianej. Ale, że pasiak pasiakowi nierówny, najlepiej obrazuje część ekspozycji poświęcona temu makroregionowi. Na wystawie można zobaczyć ich całą gamę: od najstarszych czarno-czerwonych czy ilżeckich biało-czarnych pasiaków z regionu świętokrzyskiego po niezwykle kolorowe pasiaki łowickie. Wielką rzadkością w zbiorach muzealnych są udo-  
stępnione, właśnie w Sandomierzu, po raz pierwszy stroje łęczyckie i brzezińskie z przełomu XIX i XX w. jedne z najcenniejszych zabytków etnograficznych. Polskę południową reprezentuje na wystawie przede wszystkim „góralczyzna”. I tutaj okazuje się, że pod względem stroju jest ona bardzo zróżnicowana. Gunie czyli wierzchnie okrycia, krój portek i ich zdobienie tzw. parzenice nosiły cechy charakterystyczne dla danego regionu. Chyba najbardziej znane ubiory górali z Podhala, możemy porównać ze strojami spiskimi, orawskimi, górali szczawnickich i Beskidu Niskiego. Ciekawe, że ubiory męskie są bardziej tradycyjne, wykonywane z tkanin samodziiałowych, folowanych natomiast kobiety używały często materiałów fabrycznych. W pasie Polski południowo-zachodniej (region Górnego Śląska) przeważają stroje uszyte z tkanin fabrycznych: wełniane, aksamitne, jedwabne, krojem nawiązujące do tradycyjnych form. Zadziwia piękno i bogactwo stroju śląskiej kobiety, zdobionego kilkoma sznurami prawdziwych koralików. Kobiety nosiły długie spódnice doszyte do staników, szerokie, zakładane na kilka halek i tzw. „kielebase” – gruby rulon zakładany na biodra w celu ich wydatniejszego wyeksponowania. Dla Polski północnej, regionu bardziej uprzemysłowionego o wyższym poziomie gospodarczym charakterystyczne są stroje uszyte z tkanin fabrycznych, kojarzące się często z

ubiorami mieszczańskimi i noszące wpływy krajów sąsiednich. Pomimo tego wyraźnie widoczna jest ich własna tradycja i styl w formie, kolorystyce i zdobnictwie.

Wystawa „*Piękno użyteczne. Polskie stroje ludowe*” jest prezentacją ubiorów odświętnych, odzieży szanowanej, zakładanej w momentach szczególnych, bogatych w zdobienia haftowane, koronki, rozmaite aplikacje. Pokazywane są autentyczne ubiory z przełomu XIX i XX, i okresu międzywojennego. Strój zróżnicowany ze względu na tradycyjnie stosowane surowce, kolorystykę, zdobnictwo. Ukształtowany na przestrzeni lat klimatem, położeniem geograficznym, sytuacją gospodarczą regionu i zamożnością jego mieszkańców, historią, kontaktami z miastem i centrami przemysłowymi.

Nie sposób opisać pełnego bogactwa prezentowanych na wystawie obiektów. Oprócz kompletnych strojów, dużo miejsca poświęcono detalom, jak pasy, kobiece nakrycia głowy czy niezwykle oryginalne laski. I choć możemy zobaczyć tak wielkie zróżnicowanie strojów łączy je jedno. Trudno już to sobie wyobrazić, ale wszystkie ubiory były wykonywane własnoręcznie, przy użyciu materiałów własnej roboty bądź kupowanych fabrycznych. Dzięki temu każdy z elementów stroju jest na swój sposób niepowtarzalny, świadczący o mniejszej lub większej zręczności, wyobraźni, wrażliwości, cierpliwości i guście jego wykonawcy.

Autorką scenariusza i komisarzem wystawy przygotowanej ze zbiorów Muzeum Archeologiczno-Etnograficznego w Łodzi jest p. Alicja Wodniak, starszy kustosz Działu Stroju Ludowego i Tkaniny tego muzeum. Opiekę merytoryczną nad wystawą zorganizowaną w sandomierskim Zamku sprawuje Iwona Łukawska, kustosz Działu Archeologiczno-Etnograficznego.

Wystawę w Muzeum Okręgowym można oglądać do końca czerwca 2005 roku.

Waldemar Urbaniak  
Muzeum Okręgowe w Sandomierzu

---

## ZASŁUŻONY DLA MEDYCyny

Doktor med. APOLINARY TARNAWSKI herbu Sas urodził się w Gnojnicy k. Jaworowa w 1851 r. Studia lekarskie ukończył w Krakowie, a doktoranckie we Lwowie.

Korzystając z miejscowej saliny i czarnomorskiego klimatu Pokucia założył na zielonym pobrzeżu Kosowa (pasmo Beskid, woj. stanisławowskie) zakład przyrodoleczniczy. W uroczy krajobraz wkomponowano trzy monumentalne warzelnie soli z pięknymi gotyckimi salami, przestronne tarasy do leżakowania, baseny, solaria i domki dla kuracjuszy rozrzucone po rozległym parku. Doktor stosował modne wówczas metody Lahmanna i Kneippa, zaostrzył rygory dietetyczne, podniósł rolę ćwiczeń fizycznych i hartowania, tworząc własny system kuracji naturalistycznej. Na ten system składały się dwa splecione ze sobą programy: jeden dla ciała, drugi dla ducha.

Doktor Apolinary Tarnawski konsekwentnie formował swój zakład w szkołę zdrowia, kładąc nacisk na funkcję reedukacyjną. Zakład powstał u schyłku dziewiętnastego wieku i planowany był pierwotnie na 30 osób. Stopniowo rozrastał się przyjmując 50 internów, a kwatery dla eksternów w miasteczku sięgały liczby dwustu. Sezon kuracyjny trwał od 1 maja do końca października. Zjeżdżała tu galicyjska socjeta, a także goście spoza kordonów zaborczych. Wojna światowa przerwała tę działalność, wznowiono ją w 1922 roku. Zakład znów stał się modny. Bywanie tu należało do dobrego tonu, lecz wymagało grubego portfela.

Kamery fotograficzne i pędzle malarskie utrwaliły obraz kosowskiego zakładu, prasa zaś i literatura pamiętnikarska – sprzeczne o nim opinie.

Z życiowych satysfakcji doktora Apolinarego Tarnawskiego, wypada odnotować tłumny zjazd Towarzystwa Przyjaciół Huculszczyzny w Worochcie (1934 r.) z udziałem premiera Składkowskiego. Doktor był na tym zjeździe odpowiednio honorowany.

We wrześniu 1939 roku rodzina Tarnawskich rozpoczęła wojenną tułaczkę z armią gen. Władysława Andersa. Znalazła się na Bliskim Wschodzie.

Doktor Apolinary Tarnawski zmarł w 1943 roku w Jerozolimie, został pochowany na stokach Syjonu w katakumbach franciszkańskich. W 1966 roku dr med. Wit Tarnawski (syn Apolinarego) wydał w Londynie książkę pt. „Mój Ojciec”, w której znaleźć można więcej szczegółów, a także plan kosowskiego zakładu oraz portret Doktora z jego autografem.

Stanisław Sas Tarnawski

## ZALETY KUCHNI JARSKIEJ

---

Pokarmy tak jak powietrze są niezbędne do życia, ponieważ od nich zależy zdrowie i energia człowieka.

Do kuchni jarskiej garną się przeważnie ci, którzy stracili zdrowie i chcieliby je przez jarstwo odzyskać, natomiast ludzie zdrowi, którzy urodzili się z dobrym i silnym żołądkiem nie uznają jarskiej kuchni i znoszą łatwo jej nadużycia, „choć do czasu dzban wodę nosi”. Istnieje jednak inny typ człowieka – o wątłym przewodzie pokarmowym i z delikatnym układem nerwowym, co zazwyczaj idzie w parze. Większa część pracowników umysłowych należy właśnie do tego typu – fizycznie słabszego. Dlatego więc odżywianie jarskie będzie dla nich głównym warunkiem poprawy zdrowia. Niewątpliwie dla ludzi zdrowych będzie ono także pożyteczne, szczególnie w wychowaniu rodziny i w zapobieganiu błędom wynikającym ze złego odżywiania.

W kuchni jarskiej używa się jako pokarmów i przypraw produktów pochodzenia zwierzęcego, tj. mleka i jego przetworów oraz jaj. Bez wątplenia są one pokarmem zdrowym, a nie zawierają szkodliwych składników mięsa. Mleko jest pokarmem zupełnie doskonałym, ponieważ zawiera wszystkie składniki potrzebne do życia. Posiada dużo witamin i soli odżywczych. Mleko słodkie musi być świeże, kiedy jeszcze zachowuje swój ferment. Mleko kwaśne jest pokarmem bardzo zdrowym, lecz nie powinno ono być ani nie dokwaszone, ani nie przekwaszone. Pierwsze burzy się dalej w żołądku, a drugie ma za dużo kwasu, co nie sprzyja trawieniu. Śmietanka i śmietana są to przednie potrawy mleka, ponieważ wszystko co w mleku najlepszego zbiera się na jego powierzchni, a więc grudki masła, olejki lotne i trochę sera. Kuchnia jarska zyskałaby dużo, gdyby można w niej zastąpić masło szlachetnymi tłuszczami roślinnymi, tj. dobrą oliwą, masłem kokosowym, a przynajmniej olejami roślinnymi.

Ze wszystkich przetworów mlecznych masło najłatwiej się rozkłada, dlatego należy uważać żeby było świeże. Ser zawiera prawie czyste białko, bez zanieczyszczeń, jakie spotykamy w mięsie. Dlatego w kuchni jarskiej ser ma szerokie zastosowanie. Istnieje wiele gatunków sera, lecz najstrawniejszy jest świeży twaróg, czyli ser z mleka kwaśnego podgrzanego w temperaturze nie wyższej niż 30 stopni C.

Szerokie zastosowanie w kuchni jarskiej mają też jaja. Jajko składa się z zewnętrznego białka, od którego wzięto chemiczną nazwę i wewnętrznego żółtka, które oprócz białka zawiera sole mineralne, fosfor i siarkę oraz dużo witamin i soli odżywczych. Dlatego jako pokarm są jaja bardzo pożywne, a zwłaszcza dla pracowników umysłowych.

W celu porównania pokarmów mięsnych z pokarmami jarskimi trzeba poznać składniki mięsa. Zawiera ono stosunkowo dużo białka łatwo strawnego, dostateczną ilość tłuszczów, ale węglowodanów prawie nie ma, lecz w połączeniu z jarzynami i potrawami mącznymi mięso jest pokarmem bardzo pożywnym, szczególnie dla ludzi pracujących fizycznie. Bardziej szkodliwy od mięsa jest rosół, jako wywar, do którego przechodzą wszystkie szkodliwe składniki mięsa, lecz czy zechcą w to uwierzyć ci, którzy rosół przekładają nad wszystkie inne potrawy? Niestety zwyczaju stołu polskiego niełatwo przezwyciężyć. Rośliny są wolne od zanieczyszczeń mięsa i nie ma w nich składników rozkładowych, szkodliwych dla zdrowia. Zawierają węglowodany, wszystkie witaminy, olejki wonne oraz sole odżywcze. Pokarmy roślinne są czyste, niełatwo ulegają rozkładowi i gniciu, ponadto posiadają wszystkie składniki do życia potrzebne, a co najważniejsze rodzą się w naturze matki ziemi. Dlatego w przepisach kuchni jarskiej niezmiernie ważną rolę odgrywają warzywa i owoce, ponieważ właśnie w nich kryje się cała energia witaminowa.

Przypomnijmy sobie, iż z jarzyn pomidory są na pierwszym miejscu, następnie jarzyny liściaste, a więc sałaty i szpinaki. Później idą jarzyny kapustne i ogórkowe, cebula, rzewień, szparagi, za nimi następują jarzyny korzeniowe i bulwy, a więc marchew, pietruszka, buraki ćwikłowe, ziemniaki itp. Ponadto zboża zielone, groszek, fasola i inne. Oczywiście co do zawartości witamin, należy jeszcze odróżnić jarzyny młode od starych. Młode takie jak: szczypiorek, rzodkiewka, marchewka, buraczki, ziemniaki, o wiele przewyższają stare. Przeciwnie ma się rzecz z owocami, dojrzałe mają skutek działania słońca o wiele więcej witamin niż niedojrzałe. Najwięcej witamin jest w poziomkach i malinach, następnie w jabłkach, gruszkach, śliwkach, porzeczkach i truskawkach. Niestety we wszystkich naszych owocach jest witamin mniej niż w owocach południowych, które bez wyjątku naładowane są witaminami. Witaminy są jak promienie radioaktywne, więc pomimo że jest ich tak mało, przodują przed innymi składnikami i są jakby duszą pokarmów.

PS. Artykuł opracowałem na podstawie książki pt. „Kosowska Kuchnia Jarska” autorstwa dra Apolinarego Tarnawskiego, wydanej w sławnej drukarni M. Arcta w Warszawie w 1929 roku. Doktor Apolinary Tarnawski (brat mojego dziadka) był właścicielem i dyrektorem zakładu naturalistycznego w Kosowie (pasmo Beskid), w woj. stanisławowskim. Pięć lat temu zmarła córka doktora Apolinarego, Celina Tarnawska-Busz, zam. w Londynie, znana pisarka na emigracji, przeżyła 92 lata. Natomiast żyją jeszcze wnukowie doktora, a mianowicie: prof. dr Wit Tarnawski-Busz (prof. fizyki nuklearnej zam. w USA) oraz profesor dr Andrzej Tarnawski-Busz (poeta, literat, wykładowca literatury angielskiej) zam. w Kanadzie.

Stanisław Sas Tarnawski

## STRZELEC w Tarnobrzegu

Związek Strzelecki „Strzelec” - Organizacja Społeczno-Wychowawcza jest patriotycznym stowarzyszeniem młodzieży polskiej - kontynuatorem istniejącego w okresie międzywojennym Związku Strzeleckiego.

**Cele działania „Strzelca”:**

- działanie na rzecz niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej i jej umacniania w myśl najważniejszego prawa strzeleckiego: „Dobro i pomyślność Rzeczypospolitej Polskiej jest pierwszym i najważniejszym prawem strzeleckim” - wyrabianie umiejętności zdyscyplinowanego życia w zespole i podnoszenie sprawności fizycznej młodzieży;
- propagowanie wśród niej postawy służby w obronie ojczyzny w myśl prawa strzeleckiego: „Strzelec służy Rzeczypospolitej i jest dla niej gotów do wszelkich poświęceń, jest wzorowym obywatelem, a jeżeli zajdzie taka potrzeba żołnierzem Rzeczypospolitej Polskiej”;
- przygotowanie młodzieży do służby wojskowej w przyszłym zreformowanym Wojsku Polskim oraz wychowanie członków Związku w duchu patriotycznym.

**Osiągamy to poprzez:**

- organizację obozów - marszów i rajdów strzeleckich, na których odbywają się szkolenia dla Jednostek Strzeleckich Związku w zakresie topografii terenowej, (dienne i nocne manewry pododdziałów w terenie), nauki strzelania z broni sportowej oraz wielu zajęć specjalistycznych;
- realizację regulaminów wewnętrznych Związku Strzeleckiego „Strzelec”- OSW;
- stałą działalność w poszczególnych Jednostkach (szkolenie obywatelskie, kształcenie kadry instruktorskiej, prowadzenie wykładów, ćwiczeń, kursów z zakresu szkolenia wojskowego i obrony cywilnej);
- udział w obchodach i uroczystościach narodowych oraz współpracę ze stowarzyszeniami kombatanckimi.

### **Jednostka Strzelecka nr 2002 w Tarnobrzegu im. Oddziału Partyzanckiego Armii Krajowej „Jędrusie”.**

Tarnobrzeski „Strzelec” skupia około czterdziestu ludzi (trochę się waha ten stan), w większości chłopaków, choć nie pozbawieni pierwiastka kobiecego, tworzymy społeczność Jednostki Strzeleckiej nr 2002, do której i ty możesz wejść! Nie stawiamy żadnych wymagań (musisz mieć 14 lat). Spotykamy się na zajęciach szkoleniowych co najmniej raz w tygodniu, w sobotę przeważnie o 9.00. Cóż więc robimy w trakcie tych zajęć? Zawsze jest troszeczkę musztry, gdyż zajęcia rozpoczynają się zbiórką i rozkazem organizacyjnym, który reguluje wszelkie sprawy związane z życiem Jednostki. Ta odrobina ma wystarczyć by wyrobić u strzelców karność i dyscyplinę tak niezbędną w innych działaniach.

Instruktorzy „Strzelca” prowadzą szkolenie taktyczne (działanie pojedynczego strzelca i drużyny na polu walki), szkolenie inżynieryjno-saperskie (trochę o minach), szkolenie chemiczne (płaszcz OP-1, maska p.gaz - niezbędne minimum), szkolenie fizyczne (przede wszystkim COMBAT 56 – nauka samoobrony). W każdym tygodniu zapewniamy 5-6 godzin atrakcji. Czasami spotykamy się również w naszej siedzibie i zajmujemy się teoretyczną stroną szkolenia, aby w soboty nie tracić cennego czasu w terenie.

Czekają na nas marsze (różnej długości od 20 do 40 kilometrów, trudności związane z obciążeniem, warunkami nocnymi).

Nieodłącznym elementem są również manewry taktyczne, czyli zaplanowane kilkugodzinne działania na polu walki, realizowane według wcześniej zaprogramowanego scenariusza. Może to być ochrona VIP-a, poszukiwanie i ewakuacja skoczka spadochronowego z zagrożonego rejonu, a może mała wojna o dużo bogatszym scenariuszu. To jeszcze nie wszystko - gdy dysponujemy dłuższym okresem wolnego czasu, jeździmy na obozy szkoleniowe w Lasy Janowskie, na Wykus, czy w Bieszczady. Tam, w oparciu o własne środki, prowadzimy intensywne zajęcia szkoleniowe, tj. przez 7-10 dni przy „niepełnym zabezpieczeniu logistycznym” (coż za tajemnicza nazwa?). Na obozie oprócz szkolenia, obejmującego znacznie szersze spektrum niż w Jednostce, pełniemy warty (np. między 2. a 4. w nocy) i służby dyżurne.

Co jeszcze? Bierzymy udział w uroczystościach, zawsze 3 maja i 11 listopada. Jednym słowem, chcemy tworzyć zawsze zgraną drużynę (ekipę) gotową, by pomagać sobie nawzajem. Często, jak chociażby w przypadku zawodów sportowo-obronnych, w których również bierzemy udział, sprawdza się zasada, iż w „zespole siła”.

Jeżeli chcesz wiedzieć więcej o nas, jak to naprawdę jest, to znajdź nas, zobacz, i rozpocznij służbę w szeregach „Strzelca” brnąc „per aspera ad astra” (z łac. przez ciernie do gwiazd).

### **„Konary”.**

Co roku nasza Jednostka Strzelecka organizuje Marsz Szlakiem Walk Legionów Polskich po Ziemi Sandomierskiej – „Konary”. W przyszłym roku marsz ten będzie miał swój podwójny jubileusz, a mianowicie będzie to już X Marsz i jednocześnie 90. rocznica bitwy pod Konarami. Marsz jest imprezą otwartą, odbywa się co roku pomiędzy 16 a 23 maja (w rocznicę bitwy pod Konarami) i trwa dwa dni. Trasa marszu liczy blisko 80 km.

Zapraszam wszystkich zainteresowanych do wzięcia udziału w marszu (więcej informacji na temat „Konar”, jak i całej naszej działalności można znaleźć na oficjalnej stronie internetowej naszej Jednostki Strzeleckiej – [www.strzelec.tbq.net.pl](http://www.strzelec.tbq.net.pl)).

### **Skoki spadochronowe, kursy pływunków, Marsz Szlakiem I Kompanii Kadrowej.**

Ponadto Związek w okresie wakacji organizuje liczne kursy pływunków, skoki spadochronowe oraz Marsz Szlakiem I Kompanii Kadrowej, tzw. „Kadrówka”. Jest to coroczny marsz, który odbywa się na trasie Kraków – Kielce. W tym roku marsz ten odbył się po raz XXXIX a 24 po wojnie.

W marszu tym bierze corocznie udział około 150 strzelców z całej Polski i tyle samo osób cywilnych. W tym roku z naszej Jednostki w marszu wzięło udział 5 strzelców.

### **Nasze problemy.**

Jak każda samodzielna organizacja pozarządowa borykamy się z problemami finansowymi, jak i lokalowymi. Tymczasowo problemy z lokalem rozwiązał przeor klasztoru oo. Dominikanów o. Maciej Złonkiewicz, użyczając do współużytkowania z innymi grupami jedną z sal w domu katechetycznym.

### **Kalendarium.**

Ważniejsze wydarzenia z życia Jednostki Strzeleckiej - 2002 Tarnobrzeg w 2004 roku:

**9 stycznia** - Udział w obchodach 61 rocznicy śmierci Władysława Jasińskiego - założyciela „Jędrusiów”.

**16-28 lutego** - Organizacja Kursu Rozpoznania w czasie ferii zimowych.

**1-3 maja** - Udział w Szkole Młodszych Dowódców Strzeleckich (cz. 2 - ostatnia).

**3 maja** - Udział w miejskich uroczystościach z okazji Święta 3-go Maja.

**22-23 maja** - Organizacja IX Marszu Szlakiem Walk Legionów J. Piłsudskiego po Ziemi Sandomierskiej „Konary 2004”.

**30 maja** - Udział w uroczystościach wręczenia sztandaru Jednostce Strzeleckiej nr 2018 Sandomierz.

**24-26 czerwca** - Udział w ogólnopolskich młodzieżowych zawodach sportowo-obronnych w Białobrzegach k. Warszawy.

**4-13 lipca** - Organizacja obozu szkoleniowego „Lasy Janowskie 2004”.

**6-12 sierpnia** - Udział w XXXIX (24) Marszu Szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej na trasie Kraków-Kielce.

**11 września** - Udział w uroczystościach setnej rocznicy koronacji Cudownego Obrazu Matki Bożej Dzikowskiej oraz setnej rocznicy powstania pomnika Bartosza Głowackiego.

**13 września** - Udział w obchodach rocznicy śmierci Józefa Sarny na cmentarzu wojennym.

**1 listopada** - Kwesta na cmentarzu wojennym na rzecz odnowy starego cmentarza w Miechocinie.

**11 listopada** - Uroczyste przekazanie dowództwa Jednostki Strzeleckiej nr 2002 po przeszło 10 latach drużynowemu ZS Grzegorzowi Tarnawskiemu przez mł. insp. ZS Tadeusza Mikę. Udział w miejskich uroczystościach z okazji Święta Niepodległości.

### **KONTAKT:**

**d-ca JS nr 2002 Tarnobrzeg**

**druż. ZS Grzegorz Tarnawski**

**tel. (0) 600-754-926**

**adres e-mail: [strzelec.tbq@interia.pl](mailto:strzelec.tbq@interia.pl)**

**Adres strony WWW:**

**[www.strzelec.tbq.net.pl](http://www.strzelec.tbq.net.pl)**

Tadeusz Milarski

---

## **Kronika:**

**Tarnobrzесki Dom Kultury już po raz kolejny w Wielką Środę, 23 marca 2005 r. o godz. 16.00 zorganizował Koncert Wielkopostny.** Klasyczna muzyka rozbrzmiewała w dominikańskim sanktuarium Matki Boskiej Dzikowskiej. Wykonawcami byli: Dorota Mentel – sopran, Łukasz Mikołaj Mateja – organy oraz Krakowski Zespół Kameralny w składzie: Katarzyna Mateja – I skrzypce, Elżbieta Zarębska – II skrzypce, Bogusława Jagielnicka – altówka, Franciszek Pall – wiolonczela, Duszан Korczakowski – kontrabas.

\*\*\*

**W Wielkim Tygodniu 21, 22, 23 marca w Tarnobrzесkim Domu Kultury odbyła się projekcja głośnego filmu „Pasja”.** Film cieszył się bardzo dużym zainteresowaniem młodzieży i dorosłych. Przez okres trzech dni odbyło się 12 projekcji. Film obejrzało ponad 3.500 osób.

\*\*\*

---

Ważnym elementem w działalności **Miejskiej Biblioteki Publicznej** są spotkania z ciekawymi ludźmi, pisarzami i poetami, historykami, ludźmi kultury. **Mieszkańcy Tarnobrzega 15 marca mieli okazję wysłuchać wykładu historyka o. Józefa Puciłowskiego OP dominikanina z Krakowa**, który mówił na temat budowania świadomości Polaków, porównywał jak ten proces przebiega w różnych słowiańskich krajach. Poruszany w czasie spotkania problem jest bliski o. Puciłowskiemu z racji tego, że jest historykiem oraz wiele lat spędził poza granicami naszego kraju – między innymi na Węgrzech, w Niemczech. Będąc tam miał okazję obserwować przemiany w świadomości narodowej. Jak żywoty jest to dla nas problem, świadczyła ilość osób, które przybyły na spotkanie oraz ożywiona dyskusja.

---

## TĘCZOWY PLENER

**BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH w Sandomierzu jest organizatorem imprezy pn. „Tęczowy Plener” dla dzieci uzdolnionych plastycznie ze szkół podstawowych i gimnazjów w okresie od 3 do 16 lipca 2005 r., w internacie I Liceum Ogólnokształcącego w Sandomierzu, ul. Krępianki 6.**

„Tęczowy Plener” to impreza cykliczna, organizowana w roku bieżącym po raz siedemnasty. W programie będą realizowane zajęcia malarskie, graficzne, ceramiczne prowadzone przez artystów plastyków. Celem organizowanego pleneru jest umożliwienie rozwoju uzdolnień plastycznych i aktywnego wypoczynku dzieci.

*Odpłatność uczestników obejmuje: wyżywienie, nocleg, koszty organizacyjne (wykładowcy, wychowawcy, zajęcia plastyczne, wycieczka, wstęp na imprezy kulturalne) za 14 dni pobytu (w tym, 7% vat). Pełna odpłatność wynosi 728 zł, natomiast dla dzieci dochodzących (bez noclegów) – 407 zł.*

*Istnieje możliwość starania się o dofinansowanie dla dzieci, u których w rodzinie przypada dochód w kwocie poniżej 550 zł brutto na osobę.*

**Zgłoszenie uczestnika i pobranie karty z programem zajęć w terminie od 11 kwietnia do 16 maja 2005 r. w Biurze Wystaw Artystycznych, 27-600 Sandomierz, Rynek 18.**

O zakwalifikowaniu na plener decyduje kolejność zgłoszeń!

Szczegółowych informacji udziela **BWA w godz. 8.00-15.00, tel./fax: (0-15) 832 35 31; e-mail: [bwasand@pro.onet.pl](mailto:bwasand@pro.onet.pl)**